

**MEMENTO**



Joseph von Eichendorff

# MEMENTO

wybór poezji

Fred Apke

**Pan baron przychodzi bosy i płaci guzikiem**

Przekład:

**Marta Klubowicz**



Wrocław 2012

Koncepcja graficzna: Marta Klubowicz

Realizacja plastyczna i DTP: Adriana Kotyla

Fotografie na okładce: Kama Trojak

Redakcja: Maciej Zalewski

Korekta: Anna Stelmaszyk, Kamila Brzezińska, Iga Wąsowicz

© Copyright by Marta Klubowicz and Oficyna Wydawnicza ATUT

Wrocław 2012

**ISBN 978-83-7432-843-2**



Oficyna Wydawnicza ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe

ul. Kościuszki 51a, 50-011 Wrocław

tel. (71) 342 20 56...58, fax (71) 341 32 04

<http://www.atut.ig.pl>, e-mail: [oficyna@atut.ig.pl](mailto:oficyna@atut.ig.pl)

*Książka ta mogła powstać dzięki pracy, pomocy, dobrym radom, dobrej woli, życzliwości, zapałowi, zaangażowaniu i wspaniałomyślności wielu osób. Są to: Fred Apke, Witold Podedworny, Jolanta Barska, Maciej Zalewski, Adriana Kotyla, Wojciech Kunicki, Maria i Józef Rockowie, Kama Trojak, Zbigniew Walewski, Piotr Kłudka, Zofia Kajling-Rudzka, Edyta Bednarska-Kolbiarz, Jock Lauterer, Kamil Macniak, Jérôme Bastianelli, Łukasz Lewicki, Rainer Jensch, Anna Stelmaszyk, Kamila Brzezińska, Iga Wąsowicz, Stanisław Beres oraz moja ukochana mama. Każdemu z nich, za coś innego – dziękuję!*

Marta Klubowicz



Wojciech Kunicki

## OTO POETA!

Romantyczny poeta, prozaik, dramaturg i publicysta Joseph von Eichendorff (1788–1857) staje się powoli, także w Polsce, pisarzem znanym. Co sprzyja, lub co powinno sprzyjać, znajomości jego tekstów? Po pierwsze ich śpiewność, liryzm, a także nastrojowość przejawiająca się nie tylko w poezji, lecz także w prozie, jak choćby w poniższym fragmencie opisującym, nie bez ironicznego dystansu, konstelację w dniu (lub nocy) narodzin przyszłego poety:

Była głęboka, cicha, jasna noc zimowa roku 1788, konstelacja była nadzwyczaj korzystna, Jupiter i Wenus zerkali przyjaźnie na białe dachy, księżyc stał w znaku Panny i dokładnie o północy musiał osiągnąć pełnię. Wtedy można było dostrzec w samotnym wiejskim dworze w L. cudowną, tajemniczą bieganię i krzątanię, schodami to w górę, to w dół, światła błąkały się i znikaly z okien, wszystko jednak cicho, bezszelestnie, jakby duchy skradaly się po starym domu. Szkoda, że nie mogłem wówczas spoglądać z okna, bo się jeszcze nie narodziłem, a kraina tam w dole odziała się w białą jak śnieg szatę, a księżyc rozsypał na niej skrzące się klejnoty, drzewa w ogrodzie stały odświętnie przypudrowane szronem w cichym oczekiwaniu, tylko smukłe topole nie mogły się doczekać i pochylały się na wietrze czolobitnie w stronę zamku, a białe kominy prostowały się senne, aby zobaczyć, co się dzieje, gdyż wysoko nad nimi płynął nocny klucz dzikich gęsi, przypominający bieg upływających godzin, a niekiedy jakiś pies szczenił we wsi: *nie żałuj, niczego nie żałuj, pewności nie miej, bo leci czas!* – Głębiej w ogrodzie widać było jak między drzewami czatuje garstka ciemnych postaci w gęstych oparach własnych oddechów jak w czarodziejskim dymie, a niektórzy w tę i z powrotem poruszali skostniałymi rękoma jak skrzydłami wiatraka, podczas gdy inni od czasu do czasu brali garść śniegu i pocierali nią swoje na pół zamarznięte nosy.

*(Pod złą gwiazdą/Unstern)*

Ten autobiograficzny fragment zimowej idylli, gdzie nic jeszcze nie zapowiada nadciągającej już zza horyzontu Rewolucji Francuskiej, odnosi się także do konkretnego miejsca urodzin poety: wsi Łubowice pod Raciborzem, leżącej w tej części Górnego Śląska, w której, mimo granicy powstałej w 1741 roku, nie zapomniano jeszcze o żywych kontaktach z Czechami i Wiedniem. Mówiono tam po niemiecku i w dialekcie górnośląskim zawierającym elementy polskie i morawskie. Zatem również miejsce narodzin winno przemawiać za obecnością poety w naszym języku i naszej kulturze, podobnie zresztą jak miejsce jego śmierci i pochówku, ale o tym opowiemy osobno pod koniec niniejszego wstępu.

Poruszyć powinna polskiego czytelnika nie tylko nastrojowość czy kierunki wyimaginowanej geografii w ich stosunku do autobiograficznej rzeczywistości, ale także swoiste zapóźnienie: poeta sam siebie widział jako człowieka, który przychodzi za późno. Przede wszystkim narodził się później niż powinien:

Raptownie zaskrzypiały kroki na zaśnieżonym podwórku, opatulona postać skradła się ostrożnie tuż przy murze do tylnej furteczki. Był to stary Daniel, którego laskawy czytelnik zna już z mojego snu, udawał się śpiesznie do ciemnej grupki w ogrodzie. – Zgromadzili się tam mianowicie kucharz, łowczy i organista z trąbkami i bębniami, aby powitać mnie uroczystym tuszem, gdy tylko ujrzą blask tego świata. Obok stało kilka naładowanych moździerzy, za pomocą których Daniel miał wybijać rytm tej muzyki, gdy tylko położna białą chustą da znak z któregoś okna. Ona jednak miała teraz zupełnie inne sprawy na głowie, a jako rezolutna kobieta rozpoczęła właśnie sprzeczkę ze służącymi; z wściekłością wyrzuciła przez okno pieluchę, która jej zdaniem była niedobra. A ta zajaśniała rozległym blaskiem w noc – na co Daniel natychmiast odpalił pierwszy moździerz, organista rozpoczął natychmiast tusz, co moją matkę tak przestraszyło, że popadła w omdlenie. Teraz jednak nieprzerwanie strzał za strzałem grzmiały moździerze, huczały trąby, a zegar zamkowy całkiem pogubiony wybił pośród tego wszystkiego dwunastą – wszystko na próżno: niezbyt szybko przyniesiono sole trzeźwiące dla mojej matki, konstelacja, mimo znakomitych aspektów, minęła, urodziłem się dokładnie półtorej minuty za późno.

*(Pod złą gwiazdą)*

Owo „półtorej minuty za późno” nadaje całemu życiu poety posmak donkiszoterii: ale też nie przypadkiem Don Kichot, ten wielki bohater literatury europejskiej, będzie pojawiał się w dziele Eichendorffa od jego wczesnych początków, a zatem ukończonej w Wiedniu w czasie studiów (1810) powieści *Abnung und Gegenwart* (*Przeczucie i teraźniejszość*, 1815), po domknięte w Nysie ostatnie teksty historycznoliterackie opisujące dzieje literatury pięknej w Niemczech. Być zbyt późno urodzonym oznacza: nie nadążać za czasami, które mkną do przodu, być wstecznym, reakcyjnym, ale też „drażnić przez samą swoją krytyczną obecność”. Ktoś bowiem, kto trwa, drażni tego, który musi być w ciągłym ruchu. Czytając Eichendorffa, można wszak smakować zalety spowolnienia, które wiąże się z nienadążaniem. Wszystko jedno, czy jesteśmy w starym ogrodzie porośniętym chwastami, gdzie jeszcze kwitną, jakby nieprzyzwoicie w swoim zapóźnieniu, peonia i cesarska korona, czy też oglądamy pałace ze starymi, rokokowymi wnętrzami, a może błądzimy po lasach albo wędrujemy górskimi wąwozami. Właśnie wędrujemy, nie poruszamy się koleją, nie gnamy konno, lecz idziemy – wolno, swobodnie, nie widząc jeszcze celu, ale wiedząc, że każda droga nas do niego zaprowadzi, bo tą drogą jest życie, a tym celem śmierć.



Joseph von Eichendorff urodził się w Lubowicach 10 marca 1788 roku. Początkowo pobierał nauki u prywatnych nauczycieli. W dniu 5 października 1801 roku wyjechał z bratem Wilhelmem do Wrocławia, gdzie uczęszczał do katolickiego gimnazjum mieszczącego się w budynku dzisiejszego Uniwersytetu. Mieszkał w Konwikcie św. Józefa (dziś gmach Instytutu Antropologii) przy ulicy Kuźnicznej. 20 kwietnia 1805 roku rozpoczął studia w Halle. Od 17 maja 1807 roku, po klęsce Prus pod Jeną, przebywał w Heidelbergu. Od 16 czerwca 1811 roku – wciąż z bratem Wilhelmem – przebywał w Wiedniu, gdzie w marcu 1812 roku ukończył studia prawnicze. Od wiosny 1811 do jesieni 1812 roku powstawała pierwsza wielka powieść pisarza *Abnung und Gegenwart* (*Przeczucie i współczesność*, 1815). W lutym 1813 roku Eichendorff opuścił Wiedeń, by przyłączyć się do tzw. Korpusu Luetzowa, ochotniczego oddziału walczącego z Napoleonem. W armii służył do 1814 roku. 7 kwietnia 1815 roku poślubił we Wrocławiu, w kościele św. Wincentego Luizę von Larisch. W mieście tym urodziło się dwoje dzieci Eichendorffów: córka Teresa (9.05.1817) i drugi syn Rudolf (19.04.1819). We Wrocławiu pilnie pracował, a po godzinach tworzył, z nadzieją na sukces. Tu właśnie powstają jego najpiękniejsze utwory prozatorskie: pierwsze rozdziały wspomnianego *Nicponia* oraz opublikowane w 1817 roku opowiadanie *Posąg marmurony* (*Das Marmorbild*). We Wrocławiu intensywnie czyta, doskonali swój warsztat poetycki, staje się powoli autorem znanym, choć oczywiście nie będącym w stanie żyć z dzieł swojego talentu. Eichendorff należał wprawdzie do stanu szlacheckiego, ale jego rodzina stopniowo traciła, zwłaszcza po śmierci ojca poety w 1818 roku, swoje majątki. Ze wszystkich dóbr pozostał w posiadaniu rodziny majątek w północnomorawskich Sedlnicach. Lubowice pozostawały jeszcze do 1822 roku wdową siedzibą matki poety. Od tego roku pisarz unikał swoich rodzinnych stron. Od stycznia 1821 roku przebywał w Gdańsku, gdzie pracował w Nadprezydium Prowincji Prusy Zachodnie. Tam zainteresował się problemami odbudowy Malborka oraz ukończył wspaniałą nowelę *Z życia nicponia* (*Aus dem Leben eines Taugenichts*, 1826) i sztukę *Krieg den Philistern* (*Wojna filistrom*, 1824). W 1824 roku Eichendorff udał się jako urzędnik do Królewca. Od 1831 roku zaczął pracę w Berlinie w Ministerstwie Kultu Religijnego. W 1844 roku został emerytowany. Od 1855 roku przebywał w Nysie wraz z córką i zięciem, którego jako oficera przeniesiono do Nysy – miasta garnizonowego. Poeta zmarł tam 26 listopada 1857 roku i pochowano go na cmentarzu Jerozolimskim, gdzie do dziś znajduje się jego grób.

Ten romantyk, urodzony w południowym cyplu wówczas pruskiego Śląska, marzył zawsze o Austrii lub o Nadrenii – to były krainy najbardziej przypominające jego wymyśloną ojczyznę. Bohaterowie jego opowiadań, w tym najsłynniejszego: *Z życia nicponia* (*Aus dem Leben eines Taugenichts*, 1826), ruszają na południe, najpierw do Wiednia, a potem do Rzymu, do krainy, która była przestrzenią tęsknoty romantyków niemieckich, zwłaszcza takich, którzy jak Eichendorff przywiązani byli żywo do wiary oraz idei katolickiej. Jednak nie tylko materialna deklaszja rodziny, ale przede wszystkim doświadczenie rewolucji stanie się głównym przeżyciem

Josepha von Eichendorffa: rewolucję postrzega jako zniesienie dotychczasowego ładu i jako próbę ponownego wzniesienia „Wieżi Babel”, to znaczy uporządkowania systemów wartości wedle nowych zasad:

Gdy na niedostępnych lodowych szczytach teorii powstaną lawiny odpowiednio wydrążone przez wodę, wówczas wystarczy lot ptaka czy dźwięk słowa, by zasypały one całe polacie ziemi, wyrывая skały i karczując lasy; a to słowo zwie się: wolność i równość. To, co dawne, zostało – wedle powszechnego mniemania – rozbite, gwałtownie zerwano złotą nić z przeszłości. Ale pod gruzami nikt nie może mieszkać, trzeba było koniecznie zacząć budowę na nowych fundamentach, i od tej pory rozpoczęło się rozpaczliwe eksperymentowanie rzekomych artystów państwa, które do dziś utrzymuje społeczeństwo w gorączkowym ruchu.

*(Niegdyś przeżyłem / Erlebtes)*

Ta rewolucyjna nowoczesność, którą Eichendorff wyraźnie dostrzega, jest dla niego walką dwóch zasad: „Jeśli jednak bliżej przyjrzymy się walce tych rozpetanych i fermentujących żywiołów, wówczas dojrzymy walkę religii z wolnomyślicielstwem, jako właściwie poruszającą zasadę podstawową, ujawniającą się w polityczkach awangardy, gdyż przemiany religijnego światopoglądu wszędzie tworzą historię”. Jeśli człowiek ma ocalić substancję humanitarną, wówczas nie powinien kurczowo obstawać przy „rzekomo dawnych dobrych czasach”, ale spróbować dokonać metamorfozy własnych dziejów, wiążąc je z wartościami religijnymi. Z tego punktu widzenia Eichendorff krytykował będzie kosmopolityzm i rozbuchany subiektywizm, stając się rzecznikiem nowoczesnego patriotyzmu. Ten patriotyzm dziś może być nieczytelny, partykularny, zwłaszcza że kojarzy się z przebudzeniem „ducha pruskiego”, ale też ma, co może stanowić kolejne źródło polskiego zainteresowania tym poetą, aspekt uniwersalny. Pisarz, już jako dojrzały człowiek, urzędnik administracji państwowej, zaangażuje się w dwa wielkie projekty mające wskrzesić zrozumienie dla wielkości dawnych dziejów niemieckich: w odbudowę katedry kolońskiej oraz zamku krzyżackiego w Malborku. Zwłaszcza w związku z tą drugą inicjatywą powstanie, opublikowany w 1844 roku, memoriał wzywający do odbudowy dawnego zamku Zakonu Niemieckiego w Malborku, istotny ze względu na prowadzone do dziś w tym wielkim obiekcie prace renowacyjne. Do historii zamku pisarz nawiązał zresztą już znacznie wcześniej w dramacie *Der letzte Held von Marienburg (Ostatni bohater Malborka, 1830)*, sławiącym heroizm chrześcijańskiego rycerza, Heinricha von Plauen. Najważniejszym dokonaniem literackim Eichendorffa są jego wiersze. Jest on bowiem urodzonym lirykiem, mistrzem rymu i rytmu, zwięzłej, celnej puenty, nastrojowego, poprzez swoją melancholię, przemijania krajobrazu. Czym jest poezja, wyjaśnia pisarz w opublikowanym w 1838 roku czterowierszu:

## Wünschelrute

Schläft ein Lied in allen Dingen,  
Die da träumen fort und fort,  
Und die Welt hebt an zu singen,  
Triffst du nur das Zauberwort.

„Czarodziejska różdżka” zdoła otworzyć świat, ale pod jednym warunkiem, jeśli się odnajdzie „czarodziej-  
skie słowo” zdolne obudzić „pieśń” śniącą we wszystkich „rzeczach”. Magiczne słowo jest logosem. To  
przez język nie tylko poznajemy świat, lecz także odkrywamy jego ład równoznaczny z boskimi zamysłami.  
Spokojny, trocheiczny rytm wiersza (Eichendorff stosuje stopę rytmiczną składająca się z sylaby akcentowa-  
nej, po której przychodzi nieakcentowana, właściwą dla chóru poezji antycznej), wyrafinowane rymy (Dingen  
– rzeczy rymują się z singen – śpiewać, bo to rzeczy mają śpiewać), wyraziste aliteracje (wirtuozowskie ope-  
rowanie samogłoskami) potęgują śpiewność tej strofy – być może najsłynniejszej w całej liryce niemieckiej.  
Muzyczność liryki Eichendorffa, niezwykle trudna do oddania w przekładzie, jest w swojej prostocie niezwy-  
kle wyrafinowana i zachęcała najwybitniejszych kompozytorów do tego, by pisać do niej muzykę: od Roberta  
Schumanna przez Feliksa Mendelssohna Bartholdy’ego po Hugona Wolfa i Josepha Pfitznera.

Zanim bliżej omówimy dokonania Josepha Eichendorffa w najwłaściwszym mu obszarze, mianowicie li-  
ryce, poświęćmy kilka słów historii tego gatunku w Niemczech, przynajmniej do czasów romantycznych.  
Otóż liryka średniowieczna, renesansowa i barokowa, tak bujnie rozkwitająca w Niemczech, nie wyrażała  
uczuć osobistych, nie była lustrem osobowości, gdyż odkrycie subiektywizmu, a zatem nowoczesnego „ja”,  
nastąpiło dopiero w drugiej połowie XVIII stulecia – wraz z odkryciem psychologii, dziejów i praw czło-  
wieka. Za wiersze stanowiące pierwszy przykład „liryki przeżycia” uchodzą „liryki sesenheimskie” Johanna  
Wolfganga von Goethego, powstałe w latach 70. i wprowadzające nowe, subiektywistyczne tony do poezji  
niemieckiej. Od tej pory liryka jest w stanie oddawać subtelne stany psychiczne, co prowadzi do jej koncen-  
tracji na subiektywnym, by nie rzec subiektywistycznym postrzeganiu świata. I tu następuje punkt, w którym  
Eichendorff odrzuca nowoczesny subiektywizm, respektując zarazem jego dokonania: odkrycie jaźni oraz jej  
analitycznych i projektujących zdolności.

Jakże to? – można spytać ze zdumieniem. Czyżby zatem Eichendorff nie był najbardziej typowym z roman-  
tyków? Czyżby jego krajobrazy nie tchnęły czarem średniowiecza, piękna gór i lasów? Czyżby nie był zafa-  
scynowany do późnej starości wrażeniami z najbardziej romantycznego niemieckiego miasta – Heidelbergu,  
gdzie spędził wraz z bratem Wilhelmem szczęśliwe lata studiów.

Sam Heidelberg – pisał poeta – jest przewspaniałym romantyzmem: tam oplatają dom i zagrodę, i wszystko, co zwyczajne – winorośl i kwiaty, a zamki i lasy opowiadają cudowną baśń pradziejów, jak gdyby nie było wszelkiej pospolitości na świecie. Tak potężna sceneria musiała w każdym czasie wywierać ogromne wrażenie na studentach i uwalniać ich z więzów pedantycznego konwenansu; oni pili lekkie wino zamiast ciężkiego piwa, byli weselsi, a zarazem obyczajniejsi niż w Halle.

(*Niegdyś przeżyłem*)

W opublikowanej pod koniec życia *Historii literatury pięknej w Niemczech (Geschichte der poetischen Literatur in Deutschland, 1857)* Eichendorff słać będzie romantyzm w najwyższych tonach, nawiązując do przytoczonej wyżej strofy słynnego wiersza o czarodziejskiej różdżce:

A i sama ta epoka była magiczna, gdyż rozbrzmiała cudowna pieśń, śpiąca w każdej rzeczy, ponieważ leśna samotnia opowiadała ponownie pradawną baśń natury, w upadłych grodach i kościołach dzwony uderzały, niby same z siebie, a wiercholki drzew pochylały się, szumiąc, jakby Pan kroczył wśród rozległej ciszy, aby człowiek w tym blasku ukląkł w modlitwie. Zdawało się, jakby postarzałe już pokolenie przypomniało sobie czasy swej pięknej młodości, a głęboki wstrząs ogarnął wszelkie umysły, gdyż swą pracą twórczą zainicjowali Schelling, Steffens, Görres, Novalis, bracia Schlegel i Tieck.

(przekład Katarzyna Skubisz)

Cały ten romantyczny sztafaż, wszechobecny w wierszach Eichendorffa, jest narzędziem twórczej fantazji i nie odzwierciedla w realistyczny, deskryptywny sposób żadnej rzeczywistości – historycznej, geograficznej czy biograficznej. Jest natomiast aktem twórczym, kreacją *ex nihilo*, powtarzającą gest stwórczy Boga i w tym sensie „religijną”. Dlatego w opowiadaniach poety „dzieje się tak niewiele”, a rzeczywistość jest zaprawdę jak baśń. Dlatego jego wiersze tchną przede wszystkim muzycznością formy, są jak pieśni rozbrzmiewające na scenie naszego życia, czyli naszej wyobraźni. Forma nie „wyraża” niczego. W swojej muzyczności i w swojej plastyczności malarskiej jest ofertą dla naszych zmysłów, aby nie tylko otworzyły się na świat istniejący, lecz także aby kreowały światy wbrew nacierającej pseudoreczywistości świata nowoczesnego, z jego techniką powielania obrazów, z jego szybkością niepozwalającą nawet na chwilę zastanowienia. Stanowi zatem ta liryka ofertę dla naszego ja, dla naszej podmiotowości, nigdy i nigdzie nie koncentrując się na losie jednostkowym, subiektywnym:

### **Los poety**

Dla wszystkich wiernym sercem

Radośnie płonąć muszę,

Za wszystkich muszę cierpieć,  
Kwitnącą oddać duszę.  
Lecz nim dojrzeje owoc z kwiatka,  
Pochowa mnie już ziemia – matka.  
(Przekład Marta Klubowicz)

Gdy przyjrzymy się „rekwizytom” tej poezji, tak ładnie nazwanym w opowiadaniu o aluzyjnym tytule *Wiele balasu o nic* (*Viel Lärmen um nichts*, 1833), a zatem tym zamkom, ogrodem, górą, morzu, klasztorom, a przede wszystkim lasowi, wówczas dojść możemy do przekonania, że chodzi tu o przestrzenie elementarne, konieczne dla twórczego i godnego życia. Podobnie jest z sytuacjami: najbardziej typową sytuacją jest dla poety (i każdego człowieka) wędrowka. Jej ruch jest odmienny od naszej nowoczesnej dynamiki, która ma rzekomo określone cele. Poetycka podróż pozwala otworzyć oczy na świat, pozwala go tworzyć, a jej bezcelowość jest pozorna, bo zmierza, jak wszelka wędrowka, a zwłaszcza podróż naszego życia, do śmierci. W tym sensie poeta wciąż konstruuje sensory wokół wielkich opowieści ludzkości, jak ta o „peregrynacji” do kresu, posługując się jednocześnie nowoczesnym wyrafinowaniem formalnym, które jest rezultatem nowoczesnej w XIX stuleciu liryki romantycznej subiektywności, nigdy nie stając się rzecznikiem subiektywistycznej, indywidualistycznej i okazjonalistycznej wizji człowieka. Romantyczna i nowoczesna jest także ironia wielkiego poety: może to szokować, ale pisarz był równie cięty i złośliwy w swej inteligencji, jak jego rzekomy antypoda Heinrich Heine. Tę ironię kierował do siebie, gdy zaistniała tylko możliwość, że subiektywizm romantyczny zamieni się w jego wypadku w pychę.

Zatem z wielkim zadowoleniem rozparłem się w powozie, skrzyżowałem ręce na piersi i powiedziałem sam do siebie: Zawsze to sobie mówiłem, ta cała równość to błazeństwo. I to ma być czymś naturalnym? To natura jest właśnie arystokratyczna, stawia wołu nad cielęciami, psa nad kotem, kota nad szczurem, a w świecie ludzkim urodzoną szlachtę geniusza nad resztą pospolitej hołoty. Poza tym, dodałem z ogromną satysfakcją, o ile nie powróci barbarzyństwo, zawsze będą istniały dwie rozmaite rasy w społeczeństwie, wykształcona i niewykształcona, które nigdy nie zbratają się ze sobą, gdyż odczuwają wobec siebie wzajemny wstyd, a geniusz nie zbrata się z żadną z nich, bo dlatego jest właśnie geniuszem, że nigdy się przed nikim nie wstydzi, ale raczej ci wszyscy inni, a zatem – nagle rozległo się wołanie powtarzając się raz po raz – był to paw, który przede mną na bramie z kutej kraty roztoczył koło swoim ogonem, pokazując mi tym samym zadnią część swojego przepychu. Dopiero teraz zauważyłem, że odgrywał on tu rolę portiera, a ja niepowstrzymanie wjeżdżałem do wspaniałego parku.

(*Pod złą gwiazdą*)

## FREI I GESCHLOSSEN, CZYLI SŁOWO OD TŁUMACZA

*Każdy obraz jest mniej lub bardziej studium charakteru tego, kto go namalował, tak jak w ogóle we wszystkim, co czyni i czego nie czyni, każdy moralny i uduchowiony wyraża się człowiekiem.*

Caspar David Friedrich

Były to czasy, kiedy ślady niemieckiej kultury na ziemiach zwanych „odzyskanymi” zostały już częściowo zatarte i mało kogo interesowała ich rzeczywista przeszłość. Na strychach wały się drukowane gotykiem książki, używaliśmy mebli po naszych poprzednikach, zrywaliśmy owoce z zasadzonych przez nich drzew, przeglądaliśmy się w lustrach, w których wcześniej ktoś, kogo nie znaliśmy, oglądał swoje oblicze. To oblicze było wyobrażeniem wroga i lepiej było takie myśli wypierać ze świadomości. Nadzieje powrotu do Lwowa już umarły i trzeba było żyć i patrzeć w przyszłość. Jednak okazuje się, że nie można zbudować przyszłości, zaklamując przeszłość, nie oswoiwszy się z jej duchami. Ja je nawet polubiłam. Za kwiaty, które zasadzone w ogrodzie czyją ręką co roku rozkwitały w tym samym miejscu, za biały i fioletowy bez, którego zapach wchodził majowymi nocami przez okna, za laweczki w dzikim lesie, na których można było odpocząć, zanim jakiś wandal ich nie zniszczył – bo były „poniemieckie”. Należę do pierwszego pokolenia, które się tutaj urodziło. Z zupełnie inną świadomością wzrasta się w mieście, domu, gdzie zamieszkiwały pokolenia przodków, niż kiedy te korzenie zostały ucięte i przeniesione w inny grunt. Pierwsze słowa, które nauczyłam się czytać, były w obcym języku. Sięgałam głową do klamki w łazience, pod którą był zamek. Kiedy łazienka była wolna, pojawiał się napis „frei”, kiedy ktoś się w niej zamknął: „geschlossen”. Chyba musiało to na mnie wywrzeć jakiś wpływ. Śpiąc na ponemieckim łóżku, siedząc za ponemieckim stołem, chodząc po ponemieckim bruku do szkoły, która była kiedyś budynkiem Hitlerjugend, zadawałam babci pytania: Czy wszyscy Niemcy byli źli? Dowiedziałam się, że na pewno nie wszyscy lubili Hitlera, że podobnie jak nasza rodzina na Wschodzie zostali wygnani ze swoich domów i my zajęliśmy ich miejsce. Dorastając, człowiek zaczyna tłumaczyć sobie różne rzeczy, które wcześniej żyją jedynie w sferze odczuć. Coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że te mury, drzewa i kamienie mówią, że wsiąkł w nie czas i życie innych ludzi i jak wszystko emanują energię. Później już, kiedy pojechałam do Niemiec i intuicyjnie odczułam ten kraj jako kraj bez wyraźnej duszy, wysnułam nawet bardzo osobistą, poetycką, może nazbyt śmiałą i kontrowersyjną teorię, że hitleryzm, wojna i związane z nią poczucie winy eksterminowały niemiecką duszę, którą ja jako dziecko wyczułam, zaprzyjaźniłam się z nią i która przetrwała na dzisiaj już polskich terenach.

Kiedy byłam w liceum, przyszedł do mnie kolega i oznajmił rewelacyjną wiadomość:

– Wiesz, w Nysie na cmentarzu pochowany jest bardzo znany romantyczny poeta.

Edek Hałajko chodził do „budowlanki”, ja do „ogólniaka”, ale znacznie przewyższał mnie wiedzą o historii naszego miasta. Poszliśmy na cmentarz. Grób był piękny, wyglądał jak otwarta książka. Uderzyło nas tylko, że nie napisano Eichendorffowi na grobie, że był poetą, chociaż należy do klasyki literatury. Nie rozumieliśmy tego i uznaliśmy, że to niewybaczalne uchybienie. W szkolnej bibliotece znalazłam parę krótkich wierszy w tłumaczeniu Kazimierzy Illakowiczówny – to wszystko. Nie uczyłam się niemieckiego i nie było nawet sensu szukać oryginałów. Do mojej klasy chodziła pewna blondynka o niebieskich oczach jak gwiazdy i niemieckim nazwisku Rock. Elke mówiła po polsku jak my i nikt nawet nie zastanawiał się nad tym, że może nie jest Polką. Ukrywała to i nie opowiadała nam o swoich rodzicach, którzy zostali na tych ziemiach, ani o tym, że dbają o ten właśnie grób, który Edek pokazał mi na cmentarzu. Nie opowiadał nam o tym poecie żaden nauczyciel, nawet jeśli o nim wiedział, bo nie było go w programie szkolnym, a Nysa to „dawne piastowskie ziemie, które wróciły do macierzy”. To, co się tu działo przez sześćset lat pomiędzy – było tematem tabu. Zwrot w tym temacie zaczęłam obserwować właściwie od roku 2000. Jakby nowy wiek przyniósł zmianę w sposobie postrzegania świata, jakby wreszcie zobaczono rzeczywistość w prawdziwym historycznym kontekście. Niektóre ulice wracają do przedwojennych nazw, innym nadaje się nowe, wcale nie tak obco już brzmiące imiona, pojawiają się pamiątkowe tablice pisarzy i naukowców, w Nysie odbywa się uroczystość beatyfikacyjna niemieckiej zakonnicy i jej imię nadaje się szpitalowi. Przestaje być ważne, że ci wielcy ludzie byli Niemcami, ważne, czego dokonali i że pochodzili stąd. Życie w swojej nieprzewidywalności zmusiło mnie w pewnym momencie do poznania języka, który wcześniej nie podobał mi się, ponieważ go nie znałam – tak jak większość Polaków zresztą. W przelotowym roku 2000 odbył się w Nysie Światowy Zjazd Nysan, na który zostali zaproszeni byli mieszkańcy tego miasta, którzy rozpierzchli się po świecie i czymś szczególnym się dla tego świata zasłużyli. Był to ostatni moment na zorganizowanie takiego zjazdu, gdyż pokolenie, które pamięta czasy przedwojenne powoli odchodzi. Poproszono mnie, żebym na uroczystość otwarcia zrobiła spektakl. Na potrzeby napisania scenariusza o trzech związanych z Nysą poetach: Josephie von Eichendorffie, Maxie Herrmannie Neissem i Jerzym Kozarzewskim byłam zmuszona przetłumaczyć potrzebne mi wiersze poetów niemieckich. Tak zaczęła się moja przygoda z Eichendorffem. Nareszcie mogłam go zrozumieć i odkryłam, jak fascynującym zajęciem jest tłumaczenie poezji, a szczególnie poezji rytmizowanej i rymowanej. Odkąd zaczęłam samodzielnie myśleć – pisałam wiersze, język był dla mnie żywiołem, ojczyzną, a zabawa słowem sprawiała radość, wciągała jak najlepsza krzyżówka. Świadomie zdecydowałam się na pozostawienie w tej książce kilku wersji przekładu wiersza *Czarodziejska różdżka*, by ujawnić czytelnikowi, jak tłumacz zmagają się ze słowem, chcąc pozostać najwierniejszym i uchwycić sedno w ścisłych ramach oryginalnej formy. Kiedy udało mi się oddać treść, zawarte w wierszu obrazy, atmosferę, napięcia międzysłowne i może zachować to właściwe poezji coś – jakąś tajemnicę, która ukrywa się między słowami – byłam szczęśliwa. Było w tym też coś magicznego. Tłumaczeniu wierszy sprzyjał mi czas, kiedy

odwiedzałam w Nysie moich rodziców, którzy mieszkają zaledwie sto metrów od miejsca, gdzie stał dom, w którym poeta umarł, i kilkaset metrów od jego grobu. Siedząc za biurkiem, spoglądałam w tę stronę. Chodząc na spacer, wchodziłam na pustą działkę, gdzie pod rozplantowanym gruzem z pewnością znajdują się piwnice dawnego domu i powtarzałam za Różewiczem, który pisał o grobie Dantego w Rawennie: „Eichendorff – tu nic nie ma”. Chodząc po jego śladach, robiłam zdjęcia. Jeszcze nie wiedziałam, że przydadzą mi się do zilustrowania książki.

Wyobrażałam sobie, jak zmieniał się świat. Przesuwały się granice państw, przed dawnym domem, gdzie mieszkał z córką, zięciem i ich dziećmi, stanął jego pomnik, którego w najśmielszych marzeniach nie mógł chyba przewidzieć, potem powstało jego muzeum, w dom trafiła bomba, a potem ludzie, których język rozumiał, mszcząc się na jego rodakach, którzy w XX wieku rozpętali światową wojnę, rozbierają romantycznemu poecie pomnik, oszczędzając na szczęście pięknie wyrzeźbione popiersie. Elke w wózek jęździ z mamą na pusty skwerek, potem jej rodzice wiele lat walczą, zbierają środki, by 150 lat po śmierci Poety – przed odbudowanym już pomnikiem – tłum dumnych z niemieckiego pisarza Polaków i jego prawnuk uronili łzę wzruszenia i zadumali się nad pytaniem, które samo się nasuwa: Cóż to za dom wariatów, ta historia? Doprowadza do zagłady miliony istnień, niszczy dorobek całych pokoleń i zamienia ludzi w bestie i barbarzyńców?

Dopóki prawo i obyczaj rządzi,  
Pośrodku idziesz, bezpieczny, nie błędzisz,  
Pomiędzy traszką a smokiem przystajesz,  
A gdzie spoczywasz, anioł ze snu wstaje.  
Lecz jeśli siła, zwana „sobą samym”,  
Którą drżąc, zgadujemy i nie znamy,  
Bestie związane, w ścian szczelinach śpiące,  
Na dawną, ciemną wolność czyhające –  
Uwolni z więzów, te w niszczącej mocy  
Wiare, obyczaj, prawo w prochy stoczą  
I w oka mgnieniu żywiołem się staną:  
Bogiem być musisz lub diabłem zostaniesz.

Nieprzypadkowo książkę otwiera fragment prozy *Śmierć romantyzmu*, gdzie „ostatni romantyk” brutalnie wręcz podsumowuje i żegna się ze swoją epoką. Nie bez powodu w wyborze poezji znalazł się również wiersz *Memento* i książce nadałam właśnie ten tytuł. To moim zdaniem jeden z najważniejszych utworów Eichendorffa, ze względu na wagę i uniwersalność przesłania oraz ponadczasowość formalną – wręcz współczesną lapidarność.



Poeta zdaje się mówić: łatwo jest być dobrym w spokojnych czasach, ale pamiętaj, jak łatwo można w sobie i w innych obudzić demona. Mówi: nie możesz nie wziąć za to odpowiedzialności, bo to właśnie ty – człowiek – powodujesz zarówno pojawianie się dobra, jak i uaktywnienie zła. A kiedy już zło zawładnie światem, musisz być Bogiem, żeby zachować człowieczeństwo. Czy może być coś bardziej aktualnego? Słowo *memento* kojarzy nam się z *memento mori*, ale ani mnie, ani poecie nie o to chodzi. Poeta mówi: pamiętaj, jak trudno być Człowiekiem, a ja – jego tłumacz, chcę tą książką powiedzieć: pamiętajmy o Poecie i posłuchajmy go. Ponieważ mam nieodparte wrażenie, że Eichendorff pozostaje do dzisiaj poetą niewysłuchanym, splaszczanym, zaszufłakowanym jako piewca piękna przyrody, zachodów słońca i głosiciel wdzięczności za te dary Najwyższemu Panu. To wszystko prawda. Natura jako boski dar jest w tej poezji wszechobecna, ale znaczy – moim zdaniem – o wiele więcej. Choćby powtarzający się w tej poezji motyw sarny. To piękne zwierzę nie jest tylko elementem krajobrazu, „romantycznego sztafażu”, symbolizuje to, co w człowieku nieskalane złem, wrażliwe, pełne strachu i bezbronne wobec brutalności tych, którzy – nienawidząc własnej słabości – muszą słabszego zabić. Plastyczne, niezwykle wyraziste obrazy przyrody są obrazami wewnętrznymi, symbolizują stany ludzkiej świadomości i zostały napisane z mistrzowską wręcz prostotą, która jest jednak tylko pozorna. Mam wielką nadzieję, że udało mi się w przekładach oddać zarówno jedno, jak i drugie. Fred Apke, autor sztuki, którą zamieszczam zamiast posłowania, gdyż mówi więcej o poecie niż niejedna pomnikowa biografia – zwięźle podsumował percepcję Eichendorffa:

Jestem najslawniejszym nieznanym poetą, jakiego można sobie wyobrazić! (...) Moje wiersze smakują jak deser po świątecznym pieczyście – słodka jak ulepek odwieczna breja spożyta przed zachodem słońca z pacniętą kupką boskiej bitej śmietany. Ale tak naprawdę – tak naprawdę – w moich wierszach rządzi strach.

Pieśni do wierszy Eichendorffa są w Niemczech bardzo znane, lecz ludzie najczęściej nawet nie wiedzą, kto te słowa napisał. Jakby popularność tych utworów, wpisana w już dziewiętnastowieczną kulturę „masową”, spowodowała powierzchowny sposób ich postrzegania i nawet te, które ewidentnie mówią o wewnętrznym rozdarciu, cierpieniu, wiecznej ucieczce, niemożności odnalezienia się w życiu, pozostają niezauważone, przemilczane, zignorowane.

Nawet dla współczesnego germanisty poezja Eichendorffa jest „kreacją *ex nihilo*” i „nie ma nic wspólnego z żadną rzeczywistością, ani biograficzną, ani historyczną, ani geograficzną”, a „forma nie wyraża niczego”. Widziany jest więc Eichendorff jako ktoś, kto w oderwaniu od wszystkiego poezjuje sobie a muzom i zaspokaja jedynie nasze estetyczne zmysły. Na podobieństwo demiurga stwarza malownicze światy. Jestem przekonana,

że wiersze mówią same za siebie, przecząc tej śmiałej teorii odrzucenia przez romantyka nowoczesnego subiektywizmu. „Stanowi zatem ta liryka ofertę dla naszego ja, dla naszej podmiotowości, nigdy i nigdzie nie koncentrując się na losie jednostkowym, subiektywnym”. Co zatem zrobić z cyklem trenów powstałych po śmierci córki Anny? Czy można je oderwać od tej konkretnej śmierci i osoby?

Można też przypuszczać, że gdyby rodzina poety nie straciła majątku i byłby on panem na włościach w Lubowicach, to bolesna, niezaspokojona tęsknota za domem nie powtarzałyby się w jego utworach. Pisałby prawdopodobnie o czymś innym. Podobnie jak tajemnicze rozstanie i brak kontaktu z ukochanym bratem Wilhelmem. Spędził z nim całe dzieciństwo i młodość. Nie wiadomo, czy powodem ich rozstania była kobieta, którą obaj kochali, czy raczej sprawy czysto polityczne. Poeta nie jest w stanie o nim zapomnieć, pisze do niego wiele listów w formie wierszy, których nie mogłam pominąć. Nie ma wątpliwości, że brat Wilhelm nie jest postacią fikcyjną, podobnie jak córka Anna. Rzeczywistość biograficzna wpływa więc ewidentnie na twórczość poetkę. Jestem najdalej od myślenia, że powinna być w postrzeganiu twórczości decydująca, gdyż poezja, a tym bardziej poezja takiego formatu, wykracza poza nią i jest tworem uniwersalnym. Nie bierze się jednak z niczego, lecz właśnie z „losu jednostkowego” – ludzkich przeżyć i uczuć.

Okazuje się jednak, że tylko śpiewność, liryzm, nastrojowość i wędrówka przez krajobrazy zasługują w tej poezji na uwagę. Cóż... jak widać, poeta może krzyczeć, a mimo to pozostać nieusłyszanym:

Czasem ja umiem śpiewać,  
Jakbym radosny był.  
Lecz z oczu się wylewa  
Żal, co się w sercu tli.

Tak samo jak słowiczy  
Trel, co za oknem trwa,  
Tęsknotę w noc wykrzyczy  
Z klatki jak z krypty dna.

I serca się radują,  
Wsluchane w piosnki dźwięk,  
Nie słyszą i nie czują,  
Że rozpacz w niej i lęk.

Wiersz rzeczywiście jest śpiewny i o śpiewie opowiada, lecz trudno nie zauważyć, że opisuje dokładnie ten problem, który właśnie poruszam. Dlatego oczom wrażliwego czytelnika w moim wyborze – ułożonym w pewien myślowy i dramaturgiczny ciąg, nie zaś według dat powstawania – przybliżam nie tylko te wiersze, których niemieckie dzieci uczą się na pamięć, lecz także te mniej cytowane, jak *Błędny grajek*, w którym wyraża swoją dramatyczną wewnętrzną walkę:

Winą i skrucłą rozdarta ma pierś!  
Rozkosz rozpaczy zagnała mnie gdzieś,  
W pędzie łamałem i deptałem kwiecie,  
Wianuszka z kwiatów nie splecie mi dziecię!

Chciałbym się ukryć gdzieś w najgłębszym lesie,  
Niech krzyk i lament leśne echo niesie,  
I chciałbym konno gnać na świata koniec,  
Gdzie gaśnie księżyc i gdzie słońce tonie.

Przytaczam także te niby niepozorne, krótkie, omijane przez tłumaczy utwory, jak cytowane już *Memento*, *Pragnienie śmierci* czy *Wieczór*, w których najwyraźniej można dostrzec Eichendorffa poza schematem fabrykanta pięknych słów i obrazów. Poeta w języku niemieckim to „Dichter”, a poezja to „Dichtung”. Gdy przyjrzeć się temu słowu, kojarzy się i ma etymologiczny związek z „dichten”, „verdichten”, czyli pozbawiać zbędnych przestrzeni, zagęszczać, co stanowi najprostszą i najtrafniejszą definicję poezji w ogóle, która jest myślowym skrótem, kondensacją uczuć i emocji. I takim poetą jest niewątpliwie Eichendorff.

Ja – dzisiaj – sięgam głową wyżej niż zamek w łazience, a słowa „frei” i „geschlossen”, od których zaczęłam naukę niemieckiego, nabrały innego sensu. Przedstawiając polskiemu czytelnikowi moją pracę, liczę na jego otwartość na głębię i niejednoznaczność tej czystej, szlachetnej poezji.

Marta Klubowicz

## ŚMIERĆ ROMANTYZMU

z *Wiele hałasu o nic*

Pobliski strumień gawędził, mącąc jego myśli, wierzchołki drzew nad nim szumiały monotonnie w dal, i tak nareszcie zapadł w lekki sen, a księżyc rzucił blade światło na piękną, samotną postać jak na ruiny rozsypanej w pył, utraconej młodości.

Przyśniło mu się, że jest w pięknej dolinie Neckaru pod Heidelbergiem. Lato już jednak minęło, słońce dawno zaszło, a w nim drżało od jesiennego chłodu. I tylko wesołość spóźnionych winiarzy nostalgicznie przebrzmiewała gdzieś jeszcze w dolinach, raz po raz wtórowały jej w przestworzach pojedyncze świetliste kule. Niektóre wybuchając nagle tysiącami iskier, spadając, oświetlały od dawien dawna zapomniane, przepiękne krainy.

Wśród nich rozpoznał swą daleką ojczyznę, wszystko tam zdawało się już spać, i tylko białe posągi w ogrodzie dziwnie połyskiwały w ostrym świetle. Potem noc natychmiast wszystko pochłonęła. Ponad górami jednak unosił się i płynął przepiękny śpiew, pełen cudownego, raz pogodnego, raz tęsknego brzmienia. To przecie ta stara, cudna pieśń! – pomyślał i podążył to w górę, to w dół za tym brzmieniem, które wiodło go dalej i dalej. Spoglądając w dół, widział jeziora, miasta leżące w dolinach, ale wszystko tak ciche i blade w świetle księżyca, jakby cały świat umarł. Tak dotarł wreszcie do ogrodu, gdzie w otwartej bramie, jak martwy leżał służący. „To i lepiej, niezauważony wkradnę się do mojej ukochanej”, powiedział do siebie i wszedł. W całym

## DER TOD DER ROMANTIK

aus *Viel Lärmen um nichts*

Ein naher Bach plauderte verwirrend in seine Gedanken herein, die Wipfel über ihm rauschten einformig immer fort und fort; so schlummerte er endlich ein, und der Mond warf seine bleichen Schimmer über die schöne wüste Gestalt, wie über die Trümmer einer zerfallenen verlorenen Jugend.

Da träumte ihm, er stände auf dem schönen Neckargebiete vor Heidelberg. Aber der Sommer war vorbei, die Sonne war lange untergegangen, ihn schauerte in der herbstlichen Kühle.

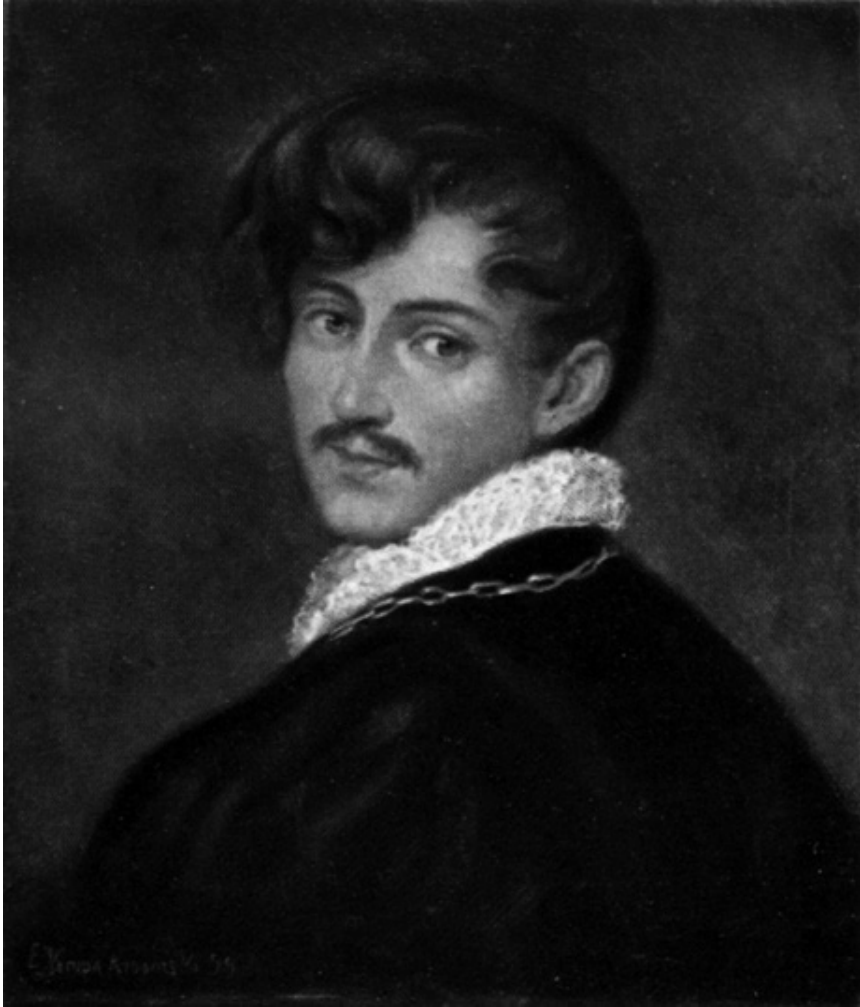
Nur das Jauchzen verspäteter Winzer verhallte noch, fast wehmütig, in den Tälern unten, von Zeit zu Zeit folgten einzelne Leuchtkugeln in der Luft. Manche zerplatze plötzlich in tausend Funken und beleuchtete im Niederfallen langvergessene, wunderschöne Gegenden. Auch seine ferne Heimat erkannte er darunter, es schien schon alles zu schlafen dort, nur die weißen Statuen im Garten schimmerten seltsam in dem scharfen Licht. Dann verschlang die Nacht auf einmal alles wieder. Über die Berge aber ging ein herrlicher Gesang, mit wunderbaren, bald heitern, bald wehmütigen Tönen. Das ist ja das alte, schöne Lied! Dachte er und folgte nun bergauf, bergab den Klängen, die immerfort vor ihm herflohen. Da sah er Dörfer, Seen und Städte seitwärts in den Tälern liegen, aber alles so still und bleich im Mondschein, als wäre die Welt gestorben. So kam er endlich an ein offenes Gartentor, ein Diener lag auf der Schwelle ausgestreckt wie ein Toter. – „Desto

wielkim, wytwornie błyszczącym w świetle księżycy ogrodzie nie poruszył się nawet jeden listek, tylko labędź, który ukrył pod skrzydłem głowę, jak we śnie kreślił na lustrze sadzawki ciche, monotonne kręgi, a piękne, nagie posągi Bogów zasnęły na cokółkach, aż im skamieniałe włosy opadły na twarze i ramiona. Kiedy rozglądał się zdziwiony dookoła, dostrzegł nagle jej wysoką i pełną wdzięku postać, kuszącą go pomiędzy ciemnymi drzewami. „Najukochańsza moja”, wołał uradowany, „tyś jest ta, której zawsze w głębi mej duszy szukałem, i tyś jest nią dzisiaj”. Ale kiedy tak szedł za nią, wydało mu się, że to jego własny cień, który uciekał przed nim po trawie, aż wreszcie znikł w ciemnych zaroślach. Kiedy nareszcie ją dogonił, chwycił za rękę, odwróciła się do niego. Przystanął i zamarł, gdyż tym, którego trzymał za rękę, był on sam. – „Puść mnie!”, krzyknął, „to nie ty, to wszystko sen!”. „To ja i zawsze to ja byłem”, odpowiedział jego upiorny sobowtór, „zawsze śniłeś, dopiero teraz się budzisz”. I tak upiór, szczerząc zęby, zaczął go całować i pieścić. Przerażony uciekł z ogrodu, mijając martwego służącego, i tak było, jakby marmurowe posągi za nim, budząc się ze snu, przeciągały, prostowały swoje kamienne ciała, i przeraźliwy śmiech rozległ się w powietrzu. Kiedy zdyszany, wydołstał się na zewnątrz, znalazł się na wysokiej górze pod niezmiernym, rozgwieżdżonym niebem. Ale gwiazdy nad nim najwyraźniej poruszały się w wielkim nieładzie, stopniowo w górze wzmagal się szum, trzask i grzmot, wreszcie Księżyc poszybował wielkim łukiem, Droga Mleczna obracała się

besser, so schleich' ich unbemerkt zum Liebchen“, sagte er zu sich selbst und trat hinein. Dort regte sich kein Blättchen in allen Bäumen den ganzen weiten Garten entlang, der prächtig im Mondschein glänzte, nur ein Schwan, den Kopf unter dem Flügel versteckt, beschrieb auf einem Weiher, wie im Traume, stille einförmige Kreise, schöne nackte Götterbilder waren auf ihren Gestellen eingeschlafen, daß die steinernen Haare über Gesicht und Arme herabhingen. – Als er sich verwundert umsah, erblickte er plötzlich ihre hohe und anmutige Gestalt verlockend zwischen den dunklen Bäumen hervor. „Geliebteste!“ rief er voll Freude, „dich meint' ich doch immer nur im Herzensgrunde, dich mein' ich noch heut!“ – Wie er sie aber verfolgte, kam es ihm vor, als wäre es sein eigener Schatten, der vor ihm über den Rasen herfloh und sich zuletzt in einem dunkeln Gebüsch verlor. Endlich hatte er sie erreicht, er faste ihre Hand, sie wandte sich. – Da blieb er erstarrt stehen – denn er war es selber, den er an der Hand festhielt. – „Laß mich los!“ schrie er, „du bist's nicht, es ist ja alles nur ein Traum!“ – „Ich bin und war es immer“, antwortete sein gräßliches Ebenbild; „du wachst nur jetzt und träumtest sonst.“ Nun fing das Gespenst mit einer grinsenden Zärtlichkeit ihn zu liebkosten an. Entsetzt floh er aus dem Garten, an dem toten Diener vorüber, es war, als streckten und dehnten sich hinter ihm die erwachten Marmorbilder, und ein widerliches Lachen schallte durch die Lüfte. – Als er atemlos wieder im Freien anlangte, befand er sich auf einem sehr hohen Berge unter dem unermeßlichen Sternenhimmel.

jak straszliwe ogniste koło, najpierw powoli, potem coraz szybciej i bardziej nieokiełznanie, w tak znie-  
walającym tempie, że od zawrotu głowy upadł na  
ziemię. Wśród tego przejmującego huków usłyszał  
dzwon i tak mu było, jakby wybiła godzina śmierci.  
Wtedy zdał sobie sprawę, że jest północ. To wła-  
śnie tak jest, pomyślał, Bóg nakreśla sprężynę czasu.  
Kiedy znowu podniósł wzrok, wszystko wygasło,  
tylko szmer dalekiego płaszcza gwiazd wędrował  
po samotności nieba, i też śpiew, jakoby Aniołowie  
śpiewali kolędę, usłyszał wysoko w przestworzach,  
brzmiący tak niewypowiedzianie radośnie, że obu-  
dziła go głęboka szczęśliwość i ból duszy. (1832)

Aber die Sterne über ihm schienen sich sichtbar  
durcheinander zu bewegen; allmählich wuchs und  
wuchs oben ein Brausen, Knarren und Rükken, end-  
lich flog der Mond in einem großen Bogen über den  
Himmel, die Milchstrasse drehte sich wie ein unge-  
heures Feuerrad, erst langsam, dann immer schnel-  
ler und wilder in entsetzlichem Schwunge, daß er  
vor Schwindel zu Boden stürzte. Mitten durch das  
schneidende Sausen hörte er eine Glocke schlagen,  
es war, als schlug' es seine Todesstunde. Da fiel ihm  
ein, daß es eben Mitternacht sei. Das ist's auch, dach-  
te er, da stellt ja der Liebe Gott die Uhr der Zeit. Und  
als er wieder aufblickte, war alles finster geworden,  
nur das Rauschen eines weiten Sternenmantels ging  
noch durch die Einsamkeit des Himmels, und auch  
den Gesang, als sängen Engel ein Weihnachtslied,  
hörte er wieder hoch in den Lüften so über alle  
Beschreibung freudig erklingen, daß er vor tiefer  
Lust und Wehmut aufwachte. (1832)



## LOS POETY

Dla wszystkich wiernym sercem  
Radośnie płonąć muszę,  
Za wszystkich muszę cierpieć,  
Kwitnącą oddać duszę,  
Lecz nim dojrzeje owoc z kwiatka,  
Pochowa mnie już ziemia – matka.

## DICHTERLOS

Für alle muß vor Freuden  
Mein treues Herze glühn,  
Für alle muß ich leiden,  
Für alle muß ich blühn,  
Und wenn die Blüten Früchte haben,  
Da haben sie mich längst begraben.





## SZCZĘŚLIWY WĘDROWIEC

Komu Bóg łaskę chce okazać,  
Tego w daleki wysła świat;  
By cuda swoje mu pokazać,  
Gór, rzek, pól, lasów boski ład.

Niemrawym, co po domach leżą,  
Nie doda czerwień świtu sił,  
Zmartwieniem żyją, w chleb swój wierzą,  
Biednie upływa życie im.

A tutaj z gór mi tryska strumień,  
Skowronek szczęściem w locie stal,  
A ja tak głośno, tak jak umiem,  
Dlaczego bym nie śpiewać miał?

A więc się Bogu chcę powierzyć;  
Jak strumyk, ptak, jak pole, las  
I ziemia, niebo w niego wierzyć,  
Że nie na darmo tu mój czas!

## DER FROHE WANDERSMANN

Wem Gott will rechte Gunst erweisen,  
Den schickt er in die weite Welt;  
Dem will er seine Wunder weisen  
In Berg und Wald und Strom und Feld.

Die Trägen, die zu Hause liegen,  
Erquicket nicht das Morgenrot,  
Sie wissen nur von Kinderwiegen,  
Von Sorgen, Last und Not um Brot.

Die Bächlein von den Bergen springen,  
Die Lerchen schwirren hoch vor Lust,  
Was sollt ich nicht mit ihnen singen  
Aus voller Kehl und frischer Brust?

Den lieben Gott lass ich nur walten;  
Der Bächlein, Lerchen, Wald und Feld  
Und Erd und Himmel will erhalten,  
Hat auch mein Sach aufs best bestellt!



## MRUK

Nocą stosy akt polykać,  
Brednie jakieś wiernie pleść,  
I w kieratu takt kuśtykać  
Jak wół, umiem – prosta rzecz.

Lecz przekonać już się nie dam,  
Że te bzdury i rupiecie  
Są cudownym darem nieba,  
Bardzo ważną rzeczą w świecie.

A mydlenie ludzkich oczu,  
Że na ostrzu pióra mego  
Świat zmurszały mógłbym oprzeć,  
Za grę błazna mam głupiego.

A że w środku koła tego  
Jak Pasquino sterczę sam,  
Świat zostawia mnie samego –  
A ja święty spokój mam!

## DER ISEGRIM

Aktenstöße nachts verschlingen,  
Schwatzen nach der Welt Gebrauch,  
Und das große Tretrad schwingen  
Wie ein Ochs, das kann ich auch.

Aber glauben, daß der Plunder  
Eben nicht der Plunder wär,  
Sondern ein hochwichtig Wunder,  
Das gelang mir nimmermehr.

Aber andre überwitzen,  
Daß ich mit dem Federkiel  
Könnt den morschen Weltbau stützen,  
Schien mir immer Narrenspiel.

Und so, weil ich in dem Drehen  
Da steh oft wie ein Pasquill,  
Läßt die Welt mich eben stehen –  
Mag sie's halten, wie sie will!

## ODWRÓT

Nie wyżyjesz z pieśni samej,  
Bo poezja boso biega,  
Odwróciłem się plecami  
Do piękności świata tego.

Długo przez świat byłem gnany,  
Przez wariacki, mylny pośpiech,  
Ale zawsze zostawiałem  
Tym niewydarzonym gościem.

Kiedy toast był wznoszony,  
Na biesiady przybywałem,  
A że byłem wciąż spóźniony,  
Czyje zdrowie – nie wiedziałem.

Lecz musiałem uniżenie  
Przed fortuną bić poklony,  
Aż zostałem tak do ziemi  
Pochylony, przygarbiony.

Gdym znów z klęczek wstał niełatwo,  
Tom już wolny, dumny taki,  
Ujrzał górę, wążów, światło,  
A na uschłych drzewach – kwiaty.

Świata łapa ciężka, Boże,  
Więc bez butów można iść,  
Lecz czy Bóg wędrowca może  
Chronić zorzą niczym liść?

## UMKEHR

Leben kann man nicht von Tönen,  
Poesie geht ohne Schuh,  
Und so wandt ich denn der Schönen  
Endlich auch den Rücken zu.

Lange durch die Welt getrieben  
Hat mich nun die irre Hast,  
Immer doch bin ich geblieben  
Nur ein ungeschickter Gast.

Überall zu spät zum Schmause  
Kam ich, wenn die andern voll,  
Trank die Neigen vor dem Hause,  
Wußt nicht, wem ich's trinken soll.

Mußt mich vor Fortuna bücken  
Ehrfurchtsvoll bis auf die Zeh'n,  
Vornehm wandt sie mir den Rücken,  
Ließ mich so gebogen stehn.

Und als ich mich aufgerichtet  
Wieder frisch und frei und stolz,  
Sah ich Berg' und Tal gelichtet,  
Blühen jedes dürre Holz.

Welt hat eine plumpe Pfofe,  
Wandern kann man ohne Schuh –  
Deck mit deinem Morgenrote  
Wieder nur den Wandrer zu!

## CZARODZIEJSKA RÓŻDŻKA

*(varianty)*

Jedna pieśń śpi w każdej rzeczy,  
Wszystko śni i śni, i śni,  
Cały świat muzyką dźwięczy,  
Gdy zakłęcie znajdziesz ty.

Jak uśpiona w każdej rzeczy,  
Jedna piosnka śni i śni,  
Świat podniosła pieśnią dźwięczy,  
Gdy zakłęcie znajdziesz ty.

W rzeczach pieśń schowana bacznie,  
Wszystko śpi i śni, i śni,  
Świat szczęśliwy śpiewać zacznie,  
Gdy zakłęcie znajdziesz ty.

W każdej rzeczy pieśń zamknięta,  
Wszystko śpi i śni, i śni,  
Świat zaczyna śpiewne święta,  
Gdy zakłęcie znajdziesz ty.

## WÜNSCHELRUTE

Schläft ein Lied in allen Dingen,  
Die da träumen fort und fort,  
Und die Welt hebt an zu singen,  
Triffst du nur das Zauberwort.

Lehrt im Lied in allen Dingen,  
Die da träumen fort und fort,  
Und die Welt sieht an zu singen,  
Sitzt Du nur rat Gubernort.

Lovijf Kijper van Gijzen, 18.

## POŻEGNANIE

O góry, o doliny  
Szerokie, cudny las,  
Bólem i szczęściem płynię  
Tu jak modlitwa czas!  
Tam w swą szaloną podróż  
Zdradliwy pędzi świat:  
A ty nade mną rozłóż  
Namiot z zielonych łąk.

Kiedy zaczyna świtać,  
Ziemia paruje, lśni,  
Ptak nowy dzień już wita,  
Z serc opadają mgły:  
Rozwieje się, przepadnie  
Niech mętny, ziemski czar  
I w tobie z martwych wstanie  
Młodzieńczy duch i żar!

## ABSCHIED

O Täler weit, o Höhen,  
O schöner, grüner Wald,  
Du meiner Lust und Wehen  
Andächt'ger Aufenthalt!  
Da draußen, stets betrogen,  
Saust die geschäft'ge Welt:  
Schlag noch einmal die Bogen  
Um mich, du grünes Zelt.

Wenn es beginnt zu tagen,  
Die Erde dampft und blinkt,  
Die Vögel lustig schlagen,  
Daß dir dein Herz erklingt:  
Da mag vergehn, verwehen  
Das trübe Erdenleid,  
Da sollst du auferstehen  
In junger Herrlichkeit!





W zielonej biblii lasu  
Zapisał ludziom Pan  
Słowa, co po wsze czasy  
Ostoją będą dlań.  
I wiernie ja chłonałem  
Te słowa proste tak,  
Że słowem nie wypowiem,  
Jak jasny jest ich smak.

Wnet muszę cię zostawić,  
Obcy – w obcy pójść świat,  
I w nurcie miast się plawić.  
Cóż teatr ten jest wart?  
Lecz w środku życia tego  
Ta twoja wielka moc  
Zbawi mnie samotnego,  
Odmłodzi serca noc.

Da steht im Wald geschrieben  
Ein stilles, ernstes Wort  
Von rechtem Tun und Lieben,  
Und was des Menschen Hort.  
Ich habe treu gelesen  
Die Worte schlicht und wahr,  
Und durch mein ganzes Wesen  
Ward's unaussprechlich klar.

Bald werd ich dich verlassen,  
Fremd in der Fremde gehen,  
Auf buntbewegten Gassen,  
Des Lebens Schauspiel sehn,  
Und mitten in dem Leben  
Wird deines Ernsts Gewalt  
Mich Einsamen erheben,  
So wird mein Herz nicht alt.

## LEŚNA ROZMOWA

Późno już, zimno, a ty gdzie  
Na koniu gnasz przez lasy te?  
Przepiękna panno młoda, las  
Wielki jest tak, pójdź, w dom już czas!

„Wielka jest męska zdrada, ta,  
Co serce łamie, podstęp zna,  
Róg w lesie huk, mami cię,  
Uciekaj, przecież nie znasz mnie!”.

Rumaka zdobny strój i twój,  
Pięknaś ty pani, Boże mój,  
Znam cię – o, Panie, sił mi daj!  
Tyś czarownica Lorelei.

„Znasz – bo mój pałac z góry hen  
Patrzy w głęboki, cichy Ren.  
Późno już, zimno, na cię czas,  
Już nie wypuści cię ten las”.

## WALDGESPRÄCH

Es ist schon spät, es ist schon kalt,  
Was reit'st du einsam durch den Wald?  
Der Wald ist groß, du bist allein,  
Du schöne Braut, ich führ dich heim!

„Groß ist der Männer Trug und List,  
Vor Schmerz mein Herz gebrochen ist,  
Wohl irrt das Waldhorn her und hin,  
O flieh, du weißt nicht, wer ich bin!“.

So reich geschmückt ist Roß und Weib,  
So wunderschön der junge Leib,  
Jetzt kenn ich dich – Gott steh mir bei!  
Du bist die Hexe Lorelay.

„Du kennst mich wohl – von hohem Stein  
Schaut still mein Schloß in tiefen Rhein.  
Es ist schon spät, es wird schon kalt,  
Kommst nimmermehr aus diesem Wald“.

## NOC KSIĘŻYCOWA

Ziemi światlisto-kwietnej  
Tak było w chwili tej,  
Jak gdyby niebo we śnie  
Pieścilo usta jej.

Powietrze szło polami,  
Muskając zboża kłos,  
I szmery szły lasami  
W przejrzyście gwiezdną noc.

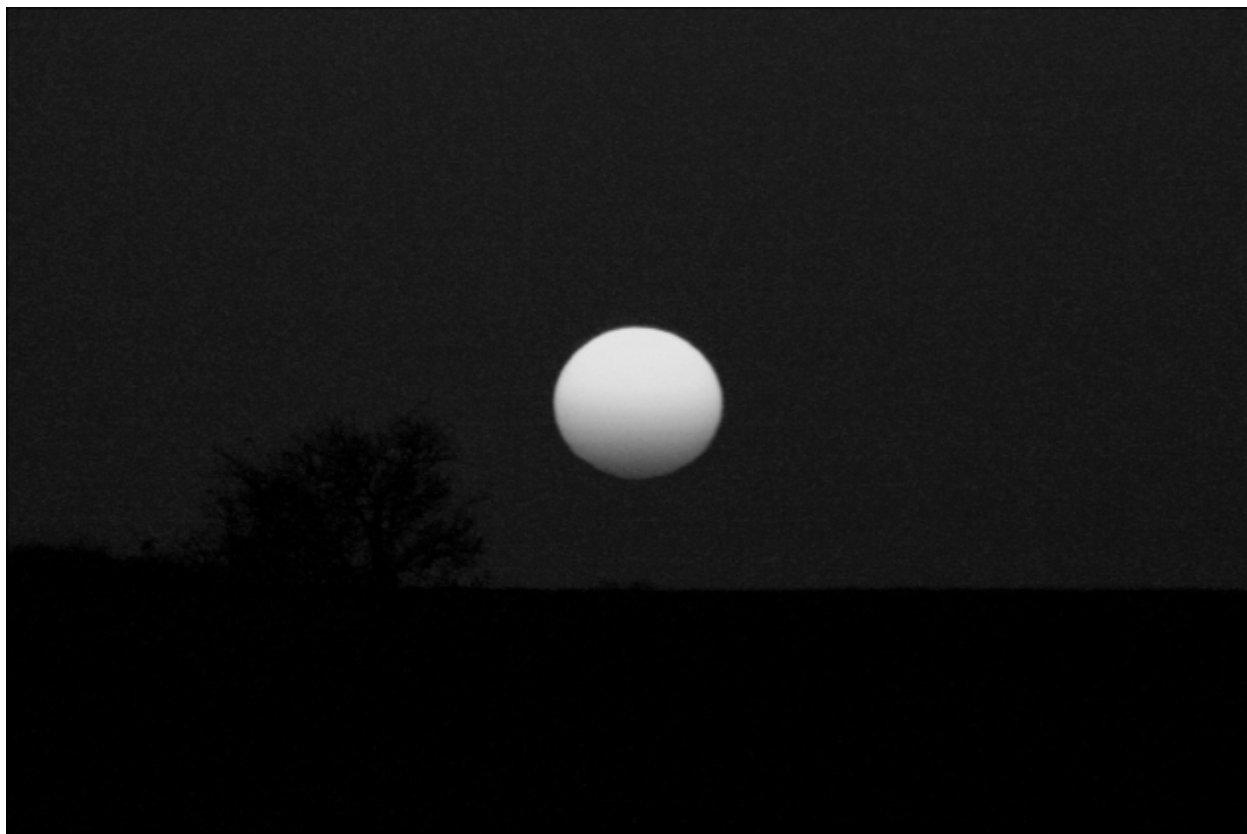
Aż mi u ramion dusza  
Skrzydłata się rozwiera  
I poprzez nocne głusze  
Do domu mnie zabiera.

## MONDNACHT

Es war, als hätt der Himmel  
Die Erde still geküßt,  
Daß sie im Blütenschimmer  
Von ihm nun träumen müßt.

Die Luft ging durch die Felder;  
Die Ähren wogten sacht,  
Es rauschten leis die Wälder  
So sternklar war die Nacht.

Und meine Seele spannte  
Weit ihre Flügel aus,  
Flog durch die stillen Lande  
Als flöge sie nach Haus.



## MODLIŹWA PORANNA

Jakże głęboka cudna cisza,  
Jakiż bezludny świat o świcie!  
Tylko w ukłonach się kołyszają  
Lasy, gdy Pan przez pola idzie.

Jestem jak narodzony nowo,  
Nieszczęście, bieda poszły w dal?  
Za to, co mą chyliło głowę,  
Wstydę się dzisiaj, gdy dzień wstał.

Świata ze szczęściem i smutkami  
Pragnę ja, pielgrzym, gotów przejść  
Przez most zwodzony nad nurtami  
Czasu, by Tobie radość nieść.

A jeśli pieśń ma w swojej sile  
Na marny żold się skusi pychy:  
To rozbij, Panie, moją lirę,  
Bym wiecznie już pozostał cichy.

## MORGENGEBET

O wunderbares, tiefes Schweigen,  
Wie einsam ist's noch auf der Welt!  
Die Wälder nur sich leise neigen,  
Als ging der Herr durchs stille Feld.

Ich fühl mich recht wie neu geschaffen,  
Wo ist die Sorge nun und Not?  
Was mich noch gestern wollt erschlaffen,  
Ich schäm mich des im Morgenrot.

Die Welt mit ihrem Gram und Glücke  
Will ich, ein Pilger, frohbereit  
Betreten nur wie eine Brücke  
Zu Dir, Herr, übern Strom der Zeit.

Und buhlt mein Lied, auf Weltgunst lauernd,  
Um schnöden Sold der Eitelkeit:  
Zerschlag mein Saitenspiel, und schauernd  
Schweig ich vor Dir in Ewigkeit.



## NOCA

Niby na życia skraju  
Stoję ja w cieniu lasu,  
Kraje jak hale zmierzchają,  
Rzeki jak wstęgi z atlasu.

I tylko noc dzwon przynosi,  
Co w serce lasu wprost mierzy,  
Sarenka głowę podnosi,  
I znowu w śnie czujnym leży.

Las we śnie na skalnym zboczu  
Koron swych wznosi kielichy.  
Gdyż Pan po szczytach gór kroczy  
I błogosławi kraj cichy.

## NACHTS

Ich stehe in Waldesschatten  
wie an des Lebens Rand,  
die Länder wie dämmernde Matten,  
der Strom wie ein silbern Band.

Von fern nur schlagen die Glocken  
über die Wälder herein,  
ein Reh hebt den Kopf erschrocken  
und schlummert gleich wieder ein.

Der Wald aber rühret die Wipfel  
im Traum von der Felsenwand.  
Denn der Herr geht über die Gipfel  
und segnet das stille Land.





## PRAGNIENIE ŚMIERCI

Zanim go przyplw błękitny pomieści,  
Śmiercią pijany labędź śpiewa jeszcze;  
Przekwitła ziemia i latem zmęczona  
Ogień swój skupia w żarzących się gronach,  
A słońce, iskrząc się, wsiąkając w wodę,  
Daje pić ziemi żaru na ochłodę,  
Aż ziemia gwiazdę przytuli do serca,  
Noc wreszcie wszędzie dla gwiazdy-topielca.

## TODESLUST

Bevor er in die blaue Flut gesunken,  
Träumt noch der Schwan und singet todestrunken;  
Die sommermüde Erde im Verblühen  
Läßt all ihr Feuer in den Trauben glühen;  
Die Sonne, Funken sprühend, im Versinken,  
Gibt noch einmal der Erde Glut zu trinken,  
Bis, Stern auf Stern, die Trunkne zu umfassen,  
Die wunderbare Nacht ist aufgegangen.



## WIECZÓR

Ludzki zgiełk już milczy w śnie:  
Ziemia szumi, jakby śniła,  
Koronami drzew mówiła,  
Lecz czy serce o tym wie?  
Dawne czasy, zblakłe smutki,  
Niby burzy błysk króciutki,  
Która w piersi krążąc, rwie.

## ABEND

Schweigt der Menschen laute Lust:  
Rauscht die Erde wie in Träumen  
Wunderbar mit allen Bäumen,  
Was dem Herzen kaum bewußt,  
Alte Zeiten, lichte Trauer,  
Und es schweifen leise Schauer  
Wetterleuchtend durch die Brust.



## PUSTELNIK

Pójdź, cicha nocy, pociesz nas,  
Lekko zejź z gór, gdy przyjdzie czas,  
Powietrze w porcie stanie  
I tylko wieczór będzie nieś  
Strudzonych ludzi morza pieśń,  
Na chwałę twoją, Panie.

I lata jak obłoki mkną,  
Gdy stoję sam, gdzieś ponad mną,  
Świat mnie zapomniał cały  
I kiedy tak w zadumie tej  
W szum lasu jam zasłuchał się,  
Tyś przyszła, tyś wspaniała.

Pocieszycielko, nocy, trwaj!  
Dzień mnie tak zmęczył, ciszę daj,  
Już ściemnia się na morzu,  
Wytchnienie daj od trudów dnia,  
Zanim przez las, co w ciszy trwa,  
Rozbłyśnie ranna zorza.

## DER EINSIEDLER

Komm, Trost der Welt, du stille Nacht  
Wie steigst du von den Bergen sacht,  
Die Lüfte alle schlafen,  
Ein Schiffer nur noch, wandermüd,  
Singt übers Meer sein Abendlied  
Zu Gottes Lob im Hafen.

Die Jahre wie die Wolken gehn  
Und lassen mich hier einsam stehn,  
Die Welt hat mich vergessen,  
Da tratst du wunderbar zu mir,  
Wenn ich beim Waldesrauschen hier  
Gedankenvoll gesessen.

O Trost der Welt, du stille Nacht!  
Der Tag hat mich so müd gemacht,  
Das weite Meer schon dunkelt,  
Laß ausruhn mich von Lust und Not,  
Bis daß das ew'ge Morgenrot  
Den stillen Wald durchfunkelt.



## **ŻOŁNIERZ**

Gdy ciemność świat już zmorzy,  
Tej ziemi dosyć mam,  
Na dnie czerwonej zorzy  
Miasto zabłyszczy nam:  
Pod wieżą pozłacaną  
Aniołów chór,  
A nam na nieba bramę  
Ostatni szturm.

## **DER SOLDAT**

Und wenn es einst dunkelt,  
Der Erd bin ich satt,  
Durchs Abendrot funkelt  
Eine prächtige Stadt:  
Von den goldenen Türmen  
Singet der Chor,  
Wir aber stürmen  
Das himmlische Tor.





## RODZINNE STRONY

### *Mojemu bratu*

Pamiętasz na wyżynie cichej zamek?  
Gdzie róg cię woła w noc i nad przepaścią  
Pasie się młoda lania,  
Więc ciszy leśnej nie budź, daj jej zasnąć,  
Choć myślom rozkochanym nie da gasnąć –  
W niej ból nie do nazwania.

Pamiętasz ogród? – Gdy się stawiała wiosna,  
Dziewczyna chłodną ścieżką przechodziła  
Cicho poprzez samotność  
I strumień dźwięków z bajki obudziła,  
Muzyką drzew i kwiatów śpiewnie śniła, –  
Starych czasów ulotność.

Ach, szumcie nam wy, drzewa, i ty, zdroju!  
Gdziekolwiek dzikie rządze cię prowadzą,  
Nie zaznasz już spokoju,  
Śpiew sięgnie cię swą tajemniczą władzą, –  
Nie uciekniemy, urok nam zadadzą  
Lasy przy wodopoju!

## DIE HEIMAT

### *An meinen Bruder*

Denkst du des Schlosses noch auf stiller Höh?  
Das Horn lockt nächtlich dort, als ob's dich rief,  
Am Abgrund grast das Reh,  
Es rauscht der Wald verwirrend aus der Tiefe –  
O stille, wecke nicht, es war als schlief  
Da drunten ein unnennbar Weh.

Kennst du den Garten? – Wenn sich der Lenz erneut,  
Geht dort ein Mädchen auf den kühlen Gängen  
Still durch die Einsamkeit,  
Und weckt den leisen Strom von Zauberklängen,  
Als ob die Blumen und die Bäume sängen  
Rings von der alten schönen Zeit.

Ihr Wipfel und ihr Bronnen rauscht nur zu!  
Wohin du auch in wilder Lust magst dringen,  
Du findest nirgends Ruh,  
Erreichen wird dich das geheime Singen, –  
Ach, dieses Bannes zauberischen Ringen  
Entflieh'n wir nimmer, ich und du!



## WIELKANOC

Z katedry słyhać dzwon żalobny,  
Z doliny zaś dziękczynną pieśń.  
To umarlemu dzwon ten dzwoni,  
A głos skowronka: obudź się!  
Ziemią zasypią go i ciszą,  
A z grobów zieleń już się pnie,  
Rzeki się kładą, w dal kołyszą,  
A bór przez sen mamrocze źle,  
I przy tych wszystkich skargi dźwiękach,  
Gdzie tylko sięgniesz okiem swym,  
Deszcz dreszczem wiosny cię dosięga,  
Jakbyś zmartwychwstał w ciele swym.

## OSTERN

Vom Münster Trauerglocken klingen,  
Vom Tal ein Jauchzen schallt herauf.  
Zur Ruh sie dort dem Toten singen,  
Die Lerchen jubeln: Wache auf!  
Mit Erde sie ihn still bedecken,  
Das Grün aus allen Gräben bricht,  
Die Ströme hell durchs Land sich strecken,  
Der Wald ernst wie in Träumen spricht,  
Und bei den Klängen, Jauchzen, Trauern,  
So weit ins Land man schauen mag,  
Es ist ein tiefes Frühlingsschauern  
Als wie ein Auferstehungstag.



## NOCĄ W GDAŃSKU

1842

Ciemne okna, strome dachy,  
Wież iglice klują mgły,  
A posągów blade zjawy  
Stoją cicho, broniąc drzwi.

Księżyc na to pada sennie,  
Widać miasto jest mu w smak,  
Jakby w dole trwał niezmiennie  
Bajek skamieniały świat.

Jak się dobrze wsłuchać w ciszę,  
Ponad domy wznieść się hen,  
Można morza szum usłyszeć –  
I samotność cudną weń!

Jak przed laty miasta wieże  
Nuć swój pradawny hymn:  
Marynarzy uchronń Boże,  
Daj szczęśliwie płynąć im!

## NACHTS IN DANZIG

1842

Dunkle Giebel, hohe Fenster,  
Türme tief aus Nebeln sehn.  
Bleiche Statuen wie Gespenster  
Lautlos an den Türen stehn.

Träumerisch der Mond drauf scheint,  
Dem die Stadt gar wohl gefällt,  
Als läg' zauberhaft versteinet  
Drunten eine Märchenwelt.

Ringsher durch das tiefe Lauschen,  
Über alle Häuser weit,  
Nur des Meeres fernes Rauschen –  
Wunderbare Einsamkeit!

Und der Türmer wie vor Jahren  
Singet ein uraltes Lied:  
Wolle Gott den Schiffer wahren,  
Der bei Nacht vorüberzieht!



## BOŻE NARODZENIE

Jak odświętne całe miasto,  
Ciepłym blaskiem domy lśnią,  
Idę przez uliczki ciasne,  
Wyludnione nocą tą.

A w okienkach matek dłonie  
Zawiesiły ozdób moc,  
W oczach dzieci zachwyt płonie,  
Świecek szczęścia w cichą noc.

## WEIHNACHTEN

Markt und Straßen stehn verlassen,  
Still erleuchtet jedes Haus,  
Sinnend geh ich durch die Gassen,  
Alles sieht so festlich aus.

An den Fenstern haben Frauen  
Buntes Spielzeug fromm geschmückt  
Tausend Kindlein stehn und schauen,  
Sind so wunderstill beglückt.



Z murów miasta w spokój śnieżny,  
W szczerze pole pójdę sam,  
Jakiś, Panie, ty potężny!  
Jaki wielki lśni się świat!

Z mroźnej samotności wstaje  
Pieśń dziękczynna, wielka pieśń,  
I do gwiazdy aż dostaje –  
Niosąc przebaczenia wieść!

Und ich wandre aus den Mauern  
Bis hinaus ins freie Feld,  
Hehres Glänzen, heil'ges Schauern!  
Wie so weit und still die Welt!

Sterne hoch die Kreise schlingen,  
Aus des Schneees Einsamkeit  
Steigt's wie wunderbares Singen –  
O du gnadenreiche Zeit!

## NA POŻEGNANIE CÓRKI

Jesienny wiatr wstrząsa lipą,  
Jakże ten świat pędzi szybko!  
Dzieciątko w ramionach grzej.  
Lato odeszło tą drogą,  
Gdzie byłem ja razem z tobą –  
Ach, wietrze, ucichnąć chcesz!

Ach, biedni ci, co kochają,  
Ach, biedni, co się rozstają,  
Dom cichy, że wstrząsa dreszcz.  
Jeszcze mi machasz chusteczką,  
Przez lzy nie widzę cię, dziecko,  
Patrzę w ulicę na deszcz.

Uliczki jeszcze jak w nocy,  
Wolniutko powóz się toczy  
I nagle – przez bramę mknie  
I w cichość pól cię już porwał.  
Tam las otuchy ci doda,  
Bóg z tobą, kochanie me!

## ZUM ABSCHIED MEINER TOCHTER

Der Herbstwind schüttelt die Linde,  
Wie geht die Welt so geschwinde!  
Halte dein Kindelein warm.  
Der Sommer ist hingefahren,  
Da wir zusammen waren –  
Ach, die sich lieben, wie arm!

Wie arm, die sich lieben und scheiden!  
Das haben erfahren wir beiden,  
Mir graut vor dem stillen Haus.  
Dein Tüchlein läßt du noch wehen,  
Ich kann's vor Tränen kaum sehen,  
Schau still in die Gasse hinaus.

Die Gassen schauen noch nächtlich,  
Es rasselt der Wagen bedächtig –  
Nun plötzlich rascher der Trott  
Durchs Tor in die Stille der Felder,  
Da grüßen so mutig die Wälder,  
Lieb Töchterlein, fahre mit Gott!



## NA ŚMIERĆ MEGO DZIECKA

4

Powala mnie to przekleństwo:  
Noc nawet nie umie dać  
Spokoju, gdy w swym szaleństwie  
Śpi umęczony już świat.

Że dzwony te wciąż tak dźwięczą,  
Że w lesie wiatr cichy gna,  
Za słodkim moim dziecięciem  
Skarga po nocy gdzieś gra.

Że serce pęknąć nie chciało,  
Gdy całowała cię śmierć,  
A potem pisać kazalo  
Tę obłąkaną, tę pieśń.

5

Chciałem radość ci zgotować,  
Pośród bólu, zmagają, trosk  
Wiernie kroku ci dotrzymać,  
Wskazać drogę w górę, wprost.

Jednak ty, niewinna moja,  
Zostawiłaś z tyłu mnie  
I znalazłaś miejsce swoje,  
Gdzie już nie dosięgnę cię.

## AUF MEINES KINDES TOD

4

Das ist's, was mich ganz verstöret:  
Daß die Nacht nicht Ruhe hält,  
Wenn zu atmen aufgehöret  
Lange schon die müde Welt.

Daß die Glocken, die da schlagen,  
Und im Wald der leise Wind  
Jede Nacht von neuem klagen  
Um mein liebes, süßes Kind.

Daß mein Herz nicht konnte brechen  
Bei dem letzten Todeskuß,  
Daß ich wie im Wahnsinn sprechen  
Nun in irren Liedern muß.

5

Freuden wollt ich dir bereiten,  
Zwischen Kämpfen, Lust und Schmerz  
Wollt ich treulich dich geleiten  
Durch das Leben himmelwärts.

Doch du hast's allein gefunden  
Wo kein Vater führen kann,  
Durch die ernste, dunkle Stunde  
Gingst du schuldlos mir voran.

7

Świat się obraca dalej  
Ludzie przychodzą, idą,  
Jakby się nic nie stało,  
Jakby cię tu nie było.

Jakże tęsknię za nowym,  
Tak wyjść w las, na polanę!  
Naturę, w złym i dobrym  
Ty mi wierna zostaniesz.

Z głębi tęsknoty lka tu  
Słowicza skarga nocą  
I wokół błyszczą kwiaty,  
I płaczą rzewną rosą.

A ponad gór szczytami  
Doliny kwietne minie,  
Nad cichymi lasami  
Żalobna pieśń popłynie.

Wtedy w mym sercu czuję,  
Że Pan jest tu, na dworze –  
I wie, jak mi to serce  
Z bólu pęknać nie może!

7

Die Welt treibt fort ihr Wesen,  
Die Leute kommen und gehn,  
Als wärest du nie gewesen,  
Als wäre nichts geschehn.

Wie sehn ich mich aufs neue  
Hinaus in Wald und Flur!  
Ob ich mich gräm, mich freue,  
Du bleibst mir treu, Natur.

Da klagt vor tiefem Sehnen  
Schluchzend die Nachtigall,  
Es schimmern rings von Tränen  
Die Blumen überall.

Und über alle Gipfel  
Und Blütentäler zieht  
Durch stillen Waldes Wipfel  
Ein heimlich Klagelied.

Da spür ich's recht im Herzen,  
Daß du's, Herr, draußen bist –  
Du weißt's, wie mir von Schmerzen  
Mein Herz zerrissen ist!

8

Z dala biją zegary,  
Noc okna czernią obleka,  
Lampa ponuro się pali,  
Łóżeczko na ciebie czeka.

Wiatr tylko, zawodząc z bólu,  
Obchodzi dom nasz cały,  
A my, wokoło stołu,  
W skargę jego wsłuchani.

Coś stuka, jakby cicho  
Do naszych drzwi ktoś zapukał.  
Zgubiła nam się tylko,  
Zmęczona spoczynku szuka.

O biedni głupcy, żalośni!  
To myśmy się zagubili,  
Stracili drogę w ciemności –  
A tyś do domu wróciła.

8

Von fern die Uhren schlagen,  
Es ist schon tiefe Nacht,  
Die Lampe brennt so düster,  
Dein Bettlein ist gemacht.

Die Winde nur noch gehen  
Wehklagend um das Haus,  
Wir sitzen einsam drinnen  
Und lauschen oft hinaus.

Es ist, als müßtest leise  
Du klopfen an die Tür,  
Du hättest dich nur verirret,  
Und kämst nun müd zurück.

Wir armen, armen Toren!  
Wir irren ja im Graus  
Des Dunkels noch verloren –  
Du fandst dich längst nach Haus.



## BŁĘDNY GRAJEK

Spod skrzydeł cichych dzieciństwa sielskiego  
Jakaś mnie siła wyrwała grzesznego.  
I w szczerym polu jam postawił nogę,  
Drogi do domu odnaleźć nie mogę.

Ułudny obraz ścigam poprzez życie,  
Gdzie jest myśliwy? A gdzie zwierzę dzikie?  
Wiatr włos mi targa i śniegiem zawiewa,  
Świecie, tyś zimny i litości nie masz!

Pobożne dziecię w domu cichym twoim,  
Na próżno wiecznie tak przy oknie stoisz!  
Nie pytaj, dziecko, skąd i dokąd zmierzam?  
Nie wiem, gdzie jestem, i nie wiem, w co wierzę!

Wina i skruczą rozdarła ma pierś!  
Rozkosz rozpaczy zagnała mnie gdzieś,  
W pędzie lamałem i deptałem kwiecie,  
Wianuszka z kwiatów nie splecie mi dziecię! –

Chciałbym się ukryć gdzieś w najgłębszym lesie,  
Niech krzyk i lament leśne echo niesie,  
I chciałbym konno gnać na świata koniec,  
Gdzie gaśnie księżyc i gdzie słońce tonie.

Tam, gdzie się wieczność zawrotna otwiera,  
Gdzie wielka przestrzeń morską cię zabiera,  
Tam, gdzie żaglowce znikają w jej toni,  
Tam może wreszcie spokój mnie pochłonie.

## DER IRRE SPIELMANN

Aus stiller Kindheit unschuldiger Hut  
Trieb mich der tolle, frevelnde Mut.  
Seit ich da draußen so frei nun bin,  
Find ich nicht wieder nach Hause mich hin.

Durchs Leben jag ich manch trügerisch Bild,  
Wer ist der Jäger da? Wer ist das Wild?  
Es pfeift der Wind mir schneidend durchs Haar,  
Ach Welt, wie bist du so kalt und klar!

Du frommes Kindlein im stillen Haus,  
Schau nicht so lüstern zum Fenster hinaus!  
Frag mich nicht, Kindlein, woher und wohin?  
Weiß ich doch selber nicht, wo ich bin!

Von Sünde und Reue zerrissen die Brust,  
Wie rasend in verzweifelter Lust,  
Brech ich im Fluge mir Blumen zum Strauß,  
Wird doch kein fröhlicher Kranz daraus! –

Ich möcht in den tiefsten Wald wohl hinein,  
Recht aus der Brust den Jammer zu schrein,  
Ich möchte reiten ans Ende der Welt,  
Wo der Mond und die Sonne hinunterfällt.

Wo schwindelnd beginnt die Ewigkeit,  
Wie ein Meer, so erschrecklich still und weit,  
Da sinken all Ström und Segel hinein,  
Da wird es wohl endlich auch ruhig sein.





## OSTATNI POWRÓT

Zimowy ranek szronem lśni,  
Wędrowiec idzie z dala,  
Sztynny ma włos i z zimna drży,  
Ta dal go okłamała.  
W ojcowskim domu spocząć chciał,  
Zapukał w drzwi i w progu stał.

Lecz obumarli wszyscy, co  
Mieszkali w starym domu,  
I oglądają obcy go,  
Jak gdyby powstał z grobu;  
I straszno mu na serca dnie,  
I do ucieczki rzuca się.

Lecz w polu szczerem cisza gra,  
Ptak nawet nie zaśpiewa,  
W marzeniu śnieżnym ogród trwa,  
On tuli się do drzewa,  
I kiedy zabrzmiał ranny dzwon,  
W ciche się pole zapadł on.

Gdy się z modlitwy podniósł już,  
Nie wiedząc, gdzie się skłonić,  
Stał młody chłopiec przy nim tuż  
I dotknął jego dłoni:  
„Musisz odpocząć, ja wiem gdzie”.  
I za tym głosem szedł jak w śnie.

## LETZTE HEIMKEHR

Der Wintermorgen glänzt so klar,  
Ein Wanderer kommt von ferne,  
Ihn schüttelt Frost, es starrt sein Haar,  
Ihm log die schöne Ferne,  
Nun endlich will er rasten hier,  
Er klopft an seines Vaters Tür.

Doch tot sind, die sonst aufgetan,  
Verwandelt Hof und Habe,  
Und fremde Leute sehn ihn an,  
Als käm er aus dem Grabe;  
Ihn schauert tief im Herzensgrund,  
Ins Feld eilt er zur selben Stund.

Da sang kein Vöglein weit und breit,  
Er lehnt' an einem Baume,  
Der schöne Garten lag verschneit,  
Es war ihm wie im Traume,  
Und wie die Morgenglocke klingt,  
Im stillen Feld er niedersinkt.

Und als er aufsteht vom Gebet,  
Nicht weiß, wohin sich wenden,  
Ein schöner Jüngling bei ihm steht,  
Faßt mild ihn bei den Händen:  
„Komm mit, sollst ruhn nach kurzem Gang“. –  
Er folgt, ihn rührt der Stimme Klang.



I przez samotność skał i gór  
Do nieba się wspinali,  
Gdzie dzwonów ich nie sięgał chór,  
Ginący świat zegnali.  
A w dole kraj daleki był,  
A w górze błyszczał gwiezdny pył.

I lekko wznosił luczycwo swe  
Przewodnik ten tajemny,  
I cicha noc zdawała się  
Wnętrzem katedry ciemnym,  
Gdzie dotyk niewidzialnych rąk –  
I się wędrowiec nocy zląkł.

Nun durch die Bergeseinsamkeit  
Sie wie zum Himmel steigen,  
Kein Glockenklang mehr reicht so weit,  
Sie sehn im öden Schweigen  
Die Länder hinter sich verblühen,  
Schon Sterne durch die Wipfel glühen.

Der Führer jetzt die Fackel sacht  
Erhebt und schweigend schreitet,  
Bei ihrem Schein die stille Nacht  
Gleichwie ein Dom sich weitert,  
Wo unsichtbare Hände baun –  
Den Wanderer faßt ein heimlich Graun.

I rzekł: Cóż niesie podmuch ten,  
Cóż to za obce tony,  
Jakby się dzwon z kościołów hen  
Wzniósł aż do nieboskłonu?  
„Nieszporów to podniosła pieśń  
Na Boga twego dźwięczy cześć”.

Wędrowiec na to: Dość już mam –  
Ranek tak w oczy razi,  
Cóż to za kraj tak błyszczący tam? –  
A ten pochodnię gasi:  
„Odpocznij wreszcie, daj mi dłoń,  
Kiedy się zbudzisz – znajdziem dom”.

Er sprach: Was bringt der Wind herauf  
So fremden Laut getragen,  
Als hört ich ferner Ströme Lauf,  
Dazwischen Glocken schlagen?  
„Das ist des Nachtgesanges Wehn,  
Sie loben Gott in stillen Höhn“.

Der Wanderer drauf: Ich kann nicht mehr –  
Ist's Morgen, der so blendet?  
Was leuchten dort für Länder her? –  
Sein Freund die Fackel wendet:  
„Nun ruh zum letzten Male aus,  
Wenn du erwachst, sind wir zu Haus“.

## PRZESZŁO-MINEŁO

To drzewo nie jest takie samo  
Jak to, co wtedy było,  
Gdy w morzu kwiecia się siedziało  
Pod słońcem, nad krainą.

To nie ten las, którego szum  
Nocą spadał w doliny,  
Gdym konno z pieśnią w sercu dumnym  
Wracał od mej dziewczyny.

To nie jest już dolina ta  
Głęboka, z sarn stadami,  
W którą wpatrzni ty i ja  
Siedzieliśmy nocami.

Wciąż są – dolina, drzewo, las,  
Świat pozostaje młody,  
Lecz ciebie już ograbił czas  
Z kochania i urody.

## VORBEI

Das ist der alte Baum nicht mehr,  
Der damals hier gestanden,  
Auf dem ich gesessen im Blütenmeer  
Über den sonnigen Landen.

Das ist der Wald nicht mehr, der sacht  
Vom Berge rauschte nieder,  
Wenn ich vom Liebchen ritt bei Nacht,  
Das Herz voll neuer Lieder.

Das ist nicht mehr das tiefe Tal  
Mit den grasenden Rehen,  
In das wir nachts viel Tausendmal  
Zusammen hinausgesehen.

Es ist der Baum noch, Tal und Wald,  
Die Welt ist jung geblieben,  
Du aber wurdest seitdem alt,  
Vorbei ist das schöne Lieben.



## ŻAŁOŚĆ

1

Czasem ja umiem śpiewać,  
Jakbym radosny był,  
Lecz z oczu się wylewa  
Żal, co się w sercu tlił.

Tak samo jak słowicy  
Trel, co za oknem trwa,  
Tęsknotę w noc wykrzyczy  
Z klatki jak z krypty dna.

I serca się radują,  
Wysłuchane w piosnki dźwięk,  
Nie słyszą i nie czują,  
Że rozpacz w niej i lęk.

2

Dokąd to, serduszko moje,  
Gdzież się szarpiesz, gdzież się rwiesz?  
Inne ciszą chcesz ukoić,  
Samo nie wiesz, czego chcesz.

„Kiedy rześko śpiewa głos twój,  
Bym przestało się już bać,  
Niesiesz cichy spokój, pokój  
I radujesz ludzką brać.

Właśnie wtedy pragnę poczuć,  
Inną, głębszą rządę, co  
Już bezdźwięczne tony toczy –  
Któż rozsadzi klatkę mą?”.

## WEHMUT

1

Ich kann wohl manchmal singen  
Als ob ich fröhlich sei,  
Doch heimlich Tränen dringen,  
Da wird das Herz mir frei.

So lassen Nachtigallen,  
Spielt draußen Frühlingsluft,  
Der Sehnsucht Lied erschallen  
Aus ihres Käfigs Gruft.

Da lauschen alle Herzen,  
Und alles ist erfreut,  
Doch keiner fühlt die Schmerzen,  
Im Lied das tiefe Leid.

2

Sage mir mein Herz, was willst du?  
Unstet schweift dein bunter Will;  
Manches andre Herz wohl stillst du,  
Nur du selbst wirst niemals still.

„Eben wenn ich munter singe,  
Um die Angst mir zu zerstreun,  
Ruh und Frieden manchen bringe,  
Daß sich viele still erfreun:

Faßt mich erst recht tief Verlangen  
Nach viel andrer, beßrer Lust,  
Die die Töne nicht erlangen –  
Ach, wer sprengt die müde Brust?“.





3

Paniczów młodych para  
Zgubiła serca dwa,  
Nie mogli spać do rana,  
Do czerwonego dnia.

Ale tym dwóm kompanom  
Nie ufaj, miła, nie,  
Wiatrem, falą się staną,  
Odpłyną, Bóg wie gdzie. –

Więc się klaniamy ziemi  
I gwiazdom – pieśnią swą,  
A ludzie oddaleni  
Trwogą i szczęściem drżą.

Nie mamy na tym świecie  
Domu i miejsca, nie,  
I tylko przestrzeń niesie  
W ojczyznę myśli te.

Jak rwące nurty rzeki  
Życie nam płynie w dal,  
Otwiera wam powieki  
Moc pieśni, walki czar.

3

Es waren zwei junge Grafen  
Verliebt bis in den Tod,  
Die konnten nicht ruhn noch schlafen  
Bis an den Morgen rot.

O trau den zwei Gesellen,  
Mein Liebchen nimmermehr,  
die gehn wie Wind und Wellen,  
Gott weiß: wohin, woher.

Wir grüßen Land und Sterne  
Mit wunderbarem Klang  
Und wer uns spürt von ferne,  
dem wird so wohl und bang.

Wir haben wohl hienieden  
Kein Haus an keinem Ort,  
Es reisen die Gedanken  
Zur Heimat ewig fort.

Wie eines Stromes Dringen  
Geht unser Lebenslauf,  
Gesanges Macht und Ringen  
Tut helle Augen auf.

Brzeg stromy, skrzydło chmury  
I miłość górna ta –  
Jak lustro są natury  
I cały świat w nich trwa.

Jasność cię świeża wzruszy,  
Szum wód orzeźwia twarz,  
Fala cię chłodem kusi,  
Bo pusty, duszny świat.

Nie próbuj jednak lepiej  
Tych cudów łowić w sieć,  
Zabijesz je, oślepisz,  
Doczesność chce je mieć.

Nie wolno rzece zostać  
Nawet w doliny dnie,  
Jej złota, giętka postać  
Ku morzu zwraca się.

Und Ufer, Wolkenflügel,  
Die Liebe hoch und mild –  
Es wird in diesem Spiegel  
Die ganze Welt zum Bild.

Dich rührt die frische Helle,  
Das Rauschen heimlich kühl,  
Das lockt dich zu der Welle,  
Weil's draußen leer und schwül.

Doch wolle nie dir halten  
Der Bilder Wunder fest,  
Tot wird ihr freies Walten,  
Hältst du es weltlich fest.

Kein Bett darf er hier finden.  
Wohl in den Tälern schön  
Siehst du sein Gold sich winden,  
Dann plötzlich meerwärts drehn.

## DO MEGO BRATA

Pomnisz w ogrodzie senne  
I w zamku nad lasami  
Niecierpliwe, niezmiennie  
Wiosny oczekiwanie?

I grajek tam przychodził,  
I wyśpiewywał wiosnę,  
I śpiewająco wodził  
W krainy te kwitnące.

Jakże od czasu tego  
Nas oddaliła droga!  
Pytamy o drugiego,  
Lecz nikt nic nie wie o nas.

Tylko w czerwieniach zorzy  
Nasz zamek się zatopił.  
W nim grajek się położył,  
Jakby snami się opił.

Nasi kochani zmarli,  
Daleki to już czas.  
A ci, co pozostali,  
Nie rozpoznają nas.

## AN MEINEN BRUDER

Gedenkst du noch des Gartens  
Und Schlosses überm Wald,  
Des träumenden Erwartens:  
Ob's denn nicht Frühling bald?

Der Spielmann war gekommen,  
Der jeden Lenz singt aus,  
Er hat uns mitgenommen  
Ins blühnde Land hinaus.

Wie sind wir doch im Wandern  
Seitdem so weit zerstreut!  
Frägt einer nach dem andern,  
Doch niemand gibt Bescheid.

Nun steht das Schloß versunken  
Im Abendrote tief.  
Als ob dort traumestrunken  
Der alte Spielmann schlief.

Gestorben sind die Lieben,  
Das ist schon lange her,  
Die wen'gen, die geliebt,  
Sie kennen uns nicht mehr.



W podwórzu i w ogrodzie  
Obcy ludzie się snują –  
Lecz drzew wierzchołki co dzień  
wiernie nas wypatrują.

A czarny las tam w dole  
W samotną dal szeleści  
I nosi wiatr przez pola  
Z młodości naszej wieści.

Raz mocniej, a raz ciszej,  
W każdej dobrej godzinie  
Muzykę lasu słyszę,  
W głąb duszy las mi płynie.

Śpiewam, bo śpiewać muszę,  
Lecz jąka się me brzmienie,  
Z ojczyzny starej duszy  
Usłysz me pozdrowienie.

Und fremde Leute gehen  
Im Garten vor dem Haus –  
Doch übern Garten sehen  
Nach uns die Wipfel aus.

Doch rauscht der Wald im Grunde  
Fort durch die Einsamkeit  
Und gibt noch immer Kunde  
Von unsrer Jugendzeit.

Bald mächtger und bald leise  
In jeder guten Stund  
Geht diese Waldesweise  
Mir durch der Seele Grund.

Und stamml' ich auch nur bange,  
Ich sing es, weil ich muß,  
Du hörst doch in dem Klange  
Den alten Heimatsgruß.

## DO MOJEGO BRATA

1813

Wznies w górę się o, świcie!  
Rwij noc na poly, bym bólem targany  
Ujrzał niebieskie bramy,  
Gdzie pokój wieczny topi się w błękicie!  
Światło chce świat odnawiać?  
Więc lzy niech mogą od bólu wyzwalać.

Braciszku drogi, serce!  
Cichym porankiem niósł nas statek jeden,  
Świat był nam niby Eden!  
Ster chybotliwy ty dzierżyłeś w ręce,  
Byśmy po morskiej głębi  
Jednego celu jak gwiazdy dosięgli.

Piękność bywała zgubą,  
Wiele kusilo i brakło mi wiele.  
Rozdartym między męką a weselem,  
Z sercem, co brzmienia uwalniało strumień:  
Co czuciem twoim było  
I tylko w mojej piersi wiecznie żyło.

## AN MEINEN BRUDER

1813

Steig aufwärts, Morgenstunde!  
Zerreiß die Nacht, daß ich in meinem Wehe  
Den Himmel wiedersehe,  
Wo ew'ger Frieden in dem blauen Grunde!  
Will Licht die Welt erneuen,  
Mag auch der Schmerz in Tränen sich befreien.

Mein lieber Herzensbruder!  
Still war der Morgen - Ein Schiff trug uns beide,  
Wie war die Welt voll Freude!  
Du faßttest ritterlich das schwanke Ruder,  
Uns beide treulich lenkend,  
Auf froher Fahrt nur einen Stern bedenkend.

Mich irrte manches Schöne,  
Viel reizte mich und viel mußst ich vermissen.  
Von Lust und Schmerz zerrissen,  
Was so mein Herz hinausgeströmt in Töne:  
Es waren Widerspiele  
Von deines Busens ewigem Gefühle.

Świat zmętniał w jednej chwili,  
Na szczyty wokół burze się wspinały,  
Niebo gromy czesały,  
By Niemcy wstały i znów się wzmocniły. –  
Lecz statek na dnie leży,  
Jak mi bez ciebie z tą falą się mierzyć! –

W jednej zrodzone skale,  
Dwa źródła, których droga się rozdziela  
I nurt strumieni wzbiera.  
Lecz choć się bracia na ziemi oddalą:  
Spotka ich wieczne morze,  
Słona im woda złączyć się pomoże.

Więc proś Wszchemogącego,  
Niechaj mą krwią i życiem wiecznie rządzi,  
Lecz dusza niechże błądzi,  
Bym jeszcze raz mógł ujrzeć brata mego,  
Jeśli nie na tym świecie:  
To tam, gdzie dom i pokój nam zaświeci.

Da ward die Welt so trübe,  
Rings stiegen Wetter von der Berge Spitzen,  
Der Himmel borst in Blitzen,  
Daß neugestärkt sich Deutschland draus erhübe. –  
Nun ist das Schiff zerschlagen,  
Wie soll ich ohne dich die Flut ertragen! –

Auf einem Fels geboren,  
Verteilen kühler rauschend sich zwei Quellen,  
Die eigne Bahn zu schwellen.  
Doch wie sie fern einander auch verloren:  
Es treffen echte Brüder  
Im ew'gen Meere doch zusammen wieder.

So wolle Gott du flehen,  
Daß er mit meinem Blut und Leben schalte,  
Die Seele nur erhalte,  
Auf daß wir freudig einst uns wiedersehen,  
Wenn nimmermehr hienieden:  
So dort, wo Heimat, Licht und ew'ger Frieden!



## DAROWANY GNIEW

W mym starym domu zamyślony stoję;  
To nie jest już ten dom, tu sowa huką,  
W podwórzu czesze trawy wiatr i stuka  
O pustych okien zmurszałe już słoje.

Jakże nieznośne wina śmiałe pędy  
Jak na złość zdobią i mury, i bramy,  
Nad zarośniętym grobem ukochanych  
Falszywie płaczą młode brzozy wszędy.

Sam jak ten puszczyk na odludnym szczycie,  
Tępo na grzędzie skarg niewysłuchanych,  
Ruinie mojej szczęśliwej młodości

Siedzę, aż drzewa zabłysną w przedświcie,  
I dzień wybaczy sowom zahukanym,  
I wiosna w kraju pode mną zagości.

## VERGEBENER ÄRGER

Im alten Haus steh ich in Gedanken;  
Es ist das Haus nicht mehr, der Wind mit Schauern  
Geht durch das Haus im Hof, und Eulen lauern  
In leeren Fenstern, die schon halb versanken.

Mich ärgern nur die jungen, kecken Ranken,  
Die wie zum Spott noch schmücken Tor und Mauern,  
Die grünen Birken, die mit falschem Trauern  
Leicht überm Grabe meiner Lieben schwanken.

So, Nachtteul' selber, auf dem öden Gipfel  
Saß ich auf meines Jugendglücks Ruinen  
Dampfbrütend über unerhörten Sorgen;

Da blitzten frühlinglichter durch die Wipfel,  
Die leuchtend unter mir das Land beschiene,  
Und nichts nach Eulen fragt der junge Morgen.

## PÓLMROK

Półmrok rozpościera skrzydła,  
Drzewa gną się jak w rozpacz,  
Chmury jak koszmary, widma  
Płyną – cóż ta zgroza znaczy?

Jeśli jedną kochasz sarnę,  
Nie daj samej paść się w lesie,  
W róg myśliwi nie na marne  
Dmą – ich głosy echo niesie.

Jeśliś zdobył na tej ziemi  
Przyjaciela, w tej godzinie  
Mu nie wierzaj, dobroć minie,  
Pokój w wojnę on odmieni.

To, co dziś się na dno stoczy,  
Jutro może trysnąć siłą.  
Lecz coś nocą się zgubiło –  
Czuwaj, miej otwarte oczy!

## ZWIELICHT

Dämmerung will die Flügel spreiten,  
Schaurig rühren sich die Bäume,  
Wolken ziehn wie schwere Träume –  
Was will dieses Graun bedeuten?

Hast ein Reh du; lieb vor andern,  
Laß es nicht alleine grasen,  
Jäger ziehn im Wald und blasen,  
Stimmen hin und wieder wandern.

Hast du einen Freund hienieden,  
Trau ihm nicht zu dieser Stunde,  
Freundlich wohl mit Aug und Munde,  
Sinnt er Krieg im tück'schen Frieden.

Was heut müde gehet unter,  
Hebt sich morgen neugeboren.  
Manches bleibt in Nacht verloren –  
Hüte dich, bleib wach und munter!



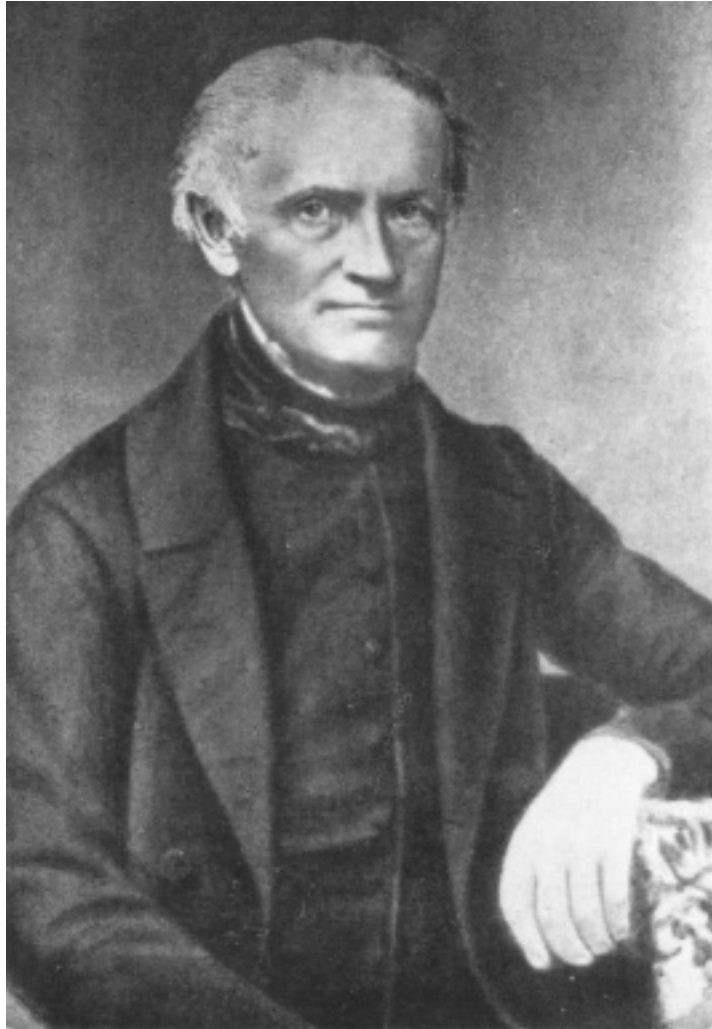
## MEMENTO

Dopóki prawo i obyczaj rządzi,  
Pośrodku idziesz, bezpieczny, nie błędzisz,  
Pomiędzy traszką a smokiem przystajesz,  
A gdzie spoczywasz, anioł ze snu wstaje.  
Lecz jeśli siła, zwana „sobą samym”,  
Którą drząc, zgadujemy i nie znamy,  
Bestie związane, w ścian szczelinach śpiące,  
Na dawną, ciemną wolność czyhające –  
Uwolni z więzów, te w niszczącej mocy  
Wiare, obyczaj, prawo w prochy stoczą,  
I w oka mgnieniu żywiołem się staną:  
Bogiem być musisz lub diabłem zostaniesz.

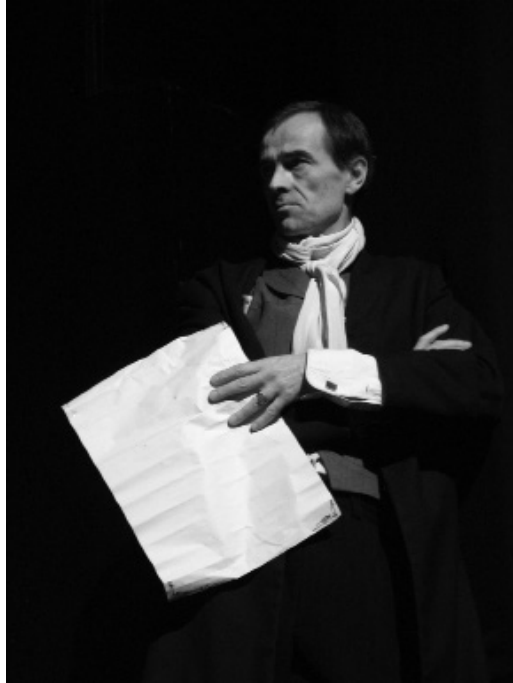
## MEMENTO

Solange Recht regiert und schöne Sitte,  
Du schlicht und gläubig gehst in sichrer Mitte,  
Da trittst du siegreich zwischen Molch und Drachen,  
Und wo du ruhst, da wird ein Engel wachen.  
Doch wenn die Kraft, die wir „Uns selber“ nennen,  
Die wir mit Schauern raten und nicht kennen,  
Gebundene Bestien, wie geklemmt in Mauern,  
Die nach der alten Freiheit dunkel lauern –  
Wenn die rebellisch sich von dir lossagen,  
Gewohnheit, Glauben, Sitt und Recht zerschlagen,  
Und stürmend sich zum Elemente wenden:  
Mußt Gott du werden oder teuflisch enden.





FRED APKE



**Pan baron przychodzi boso  
i płaci guzikiem**

## Od autora

Cóż mogę powiedzieć o tej sztuce? Temu, kto napisał, szczególnie trudno. Zawsze tak jest.

Ale spróbuję: Oczywiście, postać barona odnosi się do historycznego Eichendorffa, lecz biograficzne szczegóły były dla mnie tylko tak dalece ważne, żeby wykorzystać je dla mojej fantazji o życiu wewnętrznym tego poety. O jego zewnętrznym życiu wiemy bodaj wszystko, ale o jego wewnętrznym świecie słyzy się zbyt często splaszczczenia, oklepane i pozbawiające tę literaturę ostrości, wypolerowane zdania, aby tylko osiągnąć cel – świadomie lub nieświadomie – uczczenie „świętego Eichendorffa”.

Jedynym, niezawodnym źródłem mówiącym o jego wewnętrznym stanach są jego dzieła. Jeśli się je uważnie przeczyta – co robiłem regularnie od czternastego roku życia – rysuje się głęboko rozdarty obraz człowieka, do którego on sam – jak myślę – przed samym sobą nie chciał się przyznać. Jednak poeta w nim mówi prawdę i potwierdza jego wielki artyzm; ten urzędnik i konserwatywny katolik dopuszcza artystę do głosu i daje mu mówić o swoich lękach i wątpliwościach.

Ten rozdział właśnie był dla mnie interesujący. W pewnym sensie Eichendorff zaskakuje siebie samego, coś w nim zaczyna żyć własnym życiem i staje się silniejsze niż on sam – uruchomione przez do granic napiętą sytuacją psychiczną, kiedy to nie może przeboleć śmierci córki. Poeta Hiob oskarża Boga. Ten natomiast nie odpowiada grzmiącym słowem jak w Biblii, lecz pięknym głosem karczmarki, która bardzo ostrożnie mówi współcierpiącemu, że znalazła – wcale nie wszechmocnego – Boga w innym człowieku i nigdzie indziej.

I tak jest też dla mnie. Bez Nowego Testamentu Stary Testament byłby nie do zniesienia. W każdym razie nie dla kogoś, kto nie jest Żydem. Bóg w Chrystusie nie umarł za nas, lecz my umarliśmy w Chrystusie wraz z Bogiem – i ciągle to robimy. Codziennie na nowo. Jedyne przesłanie, jakie mogę wysnuć z tego mitu: nie daj umrzeć Bogu w tobie, bo tylko dzięki temu świadomie wykrzesanemu boskiemu ognikowi możesz stać się tym, do czego jesteś przeznaczony: Współczującym. Człowiekiem.

Fred Apke



## **Osoby:**

BARON – Joseph von E, baron i poeta

MARIE – właścicielka gospody



*Światło. Marie tańczy z wymyślnym tancerzem, w takt wymyślniej muzyki.  
Baron wchodzi z ciemności w światło, patrzy na tańczącą.*

BARON: Dobry wieczór.

*Marie spłoszona próbuje się pozbierać.*

MARIE: Gospoda już nieczynna.

BARON: Zobaczyłem światło. A cała ulica już ciemna. I drzwi były otwarte.

MARIE: Miałam właśnie pójść do łóżka.

BARON: Dobrze być znowu w świetle. Niech pani potrzyma tę lampę wyżej.

*Muzyka. Baron powoli podchodzi do stołu. Jest obdarty, cały mokry i nie ma butów.*

MARIE: Mój panie, właśnie chciałam zamykać...

BARON: Pani wie – dom chroni człowieka nie tylko przed pogodą.  
Czy spodziewa się pani jeszcze innych gości?

MARIE: Nie!

*Cisza*

Napije się pan czegoś?

BARON: Nie.

MARIE: Nic do picia?

BARON: Nie.

MARIE: Proszę pana, tu jest gospoda.

BARON: Ach, tak. W takim razie proszę mi podać... Co może mi pani podać?

MARIE: Wino?

BARON: Wino.

MARIE: Czerwone?

BARON: O, właśnie takie.

*Marie oddala się. Muzyka. Słychać głosy. Baron przysłuchuje się, jest mu zimno, okropnie się trzęsie. Marie przynosi wino.*

MARIE: Pochodzi pan gdzieś stąd?

BARON: Nie. Ale już raz byłem w tym pani ślicznym miasteczku. To było latem, skowronki unosiły się nad polami – a nas młodych rozpierała radość. Stare dobre czasy. I za każdą górą świetlista czerwień świtu obiecywała tak wiele – i chciało się tam na drugą stronę, a potem dalej i dalej... Takie świty ciągle jeszcze są – ale obiecują tylko jedno: Ciszę. Spokój.

*Uśmiecha się.*

Najchętniej chciałbym umrzeć, wtedy wszystko by umilkło.  
Niech pani tak nie patrzy! Przecież to ładne zdanie.

MARIE: Więc pan jest tu przejazdem???

*Baron potakuje.*

MARIE: Bez butów?

BARON: W rzeczy samej.

MARIE: A dlaczego bez butów?

BARON: Każdy podróżuje, jak mu się podoba.

MARIE: A do tego jest pan cały mokry. Chociaż nie pada.

BARON: Tak, to straszne.

*Okropnie kaszle.*

MARIE: Boże święty, nabawi się pan śmiertelnej choroby.

*Baron dostaje histerycznego napadu śmiechu.*

MARIE: Dlaczego pan się śmieje?

BARON: Bo mnie bawi, że się nabawię. Trzeba się spieszyć, żeby wyprzedzić Kostuchę. Śmierć to zwinny kompan podróży.

*Marie przynosi mu koc. Nakrywa mu ramiona.*

Ale śmierć wcale nie jest zimna. Jak się ogólnie przyjęło. Ogrzewa. A ponieważ na dworze jest zimno, zabroniono nam w domach zarzucać sobie na ramiona śmierć – jak koc. Wszyscy byśmy wymarli, a nasz Pan Bóg zostałby sam.

MARIE: Ale pan gada...

BARON: Tak, czasem sam siebie się trochę boję. W środku i na zewnątrz – na zewnątrz i w środku – w ogóle i w szczególe. A tu, w środku, pogoda niezmiennie się zmienia. Przez nasze niebo ciągnie różnaitość chmur – ale nic tak nie potrafi dać na firmamencie zabłysnąć słońcu jak najczarniejsza chmura, która się raz a dobrze wydeszczy.

MARIE: I pana zaskoczył deszcz z własnej chmury?

BARON: Właśnie tak było, madame.

MARIE: Proszę nie mówić do mnie: madame.

BARON: A dlaczego nie?

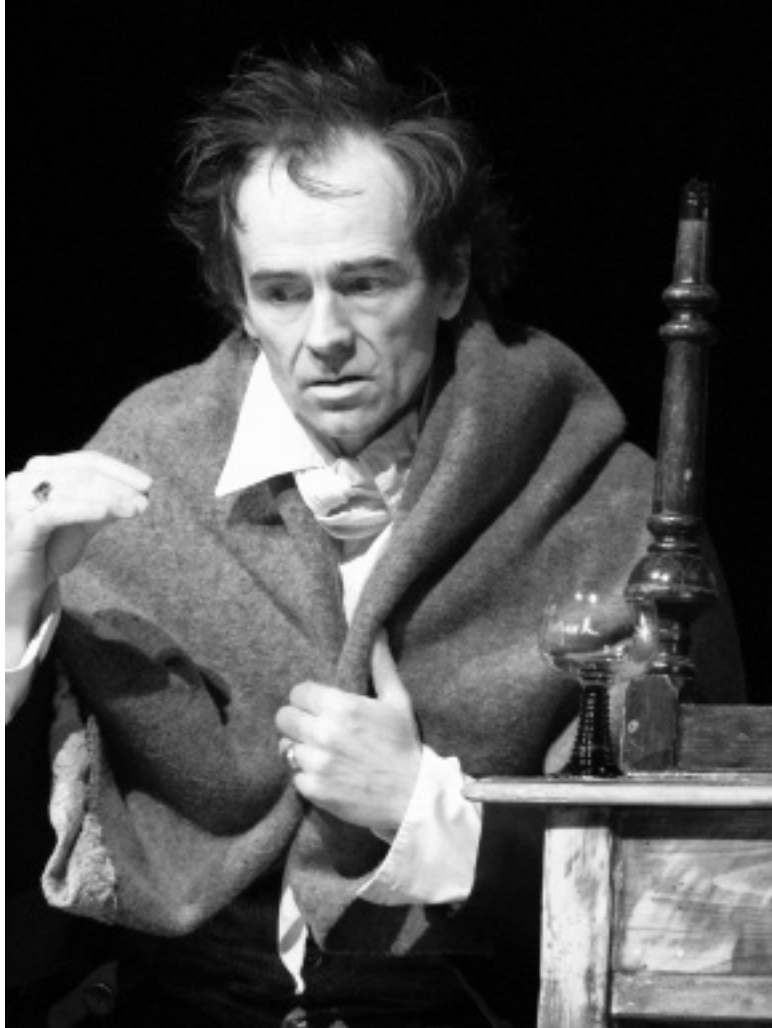
MARIE: Pan sobie ze mnie kpi!

BARON: Przepraszam. Nie chciałem. Byłem zrozumiały, tak? Tak, tak – całkiem możliwe. Wychowałem się w domu z kolumnami w portalu. To wchodzi w krew. Nawet jak się z tym walczy, nie można się tego pozbyć. Pani tak trafnie formuluje myśli. Ma pani pociąg do poezji?

MARIE: Nie.

BARON: Ależ tak. Ma pani. Wie pani, niektórzy ludzie są poetami i nawet o tym nie wiedzą. Na przykład można w poetycki sposób wyjąć z beczki śledzia.

*Marie śmieje się.*



Proszę się nie śmiać. Poezja spija nie tylko atrament, ażeby znowu wylać go na papier. Poezja może – musi – być wszędzie albo nigdzie. Sposób, w jaki narzuciła mi pani na ramiona koc – był pelen poezji.

MARIE: Dostał pan w głowę? Ktoś na pana napadł?

*Baron zastanawia się.*

BARON: Jestem w pełni władz fizycznych i umysłowych.

MARIE: Umysłowych chyba nie. W tę pogodę podróżować bez butów?

BARON: Co panią to obchodzi? Jestem tu i piję wino. To wszystko!

MARIE: Niech pan już idzie. Spóźni się pan.

BARON: Wiem. Zawsze się spóźniałem. Wszystko jedno gdzie przychodziłem – zawsze przychodziłem za późno.

*Ona znika w ciemności.*

BARON: Gdzie pani poszła? Proszę pani! Dlaczego pani uciekła? Wszystko w porządku! Zgubiłem buty – zgubiłem po drodze. Nigdy nie widziała pani kogoś, kto zgubił buty?!

*Marie znowu się pokazuje, celuje do niego z broni myśliwskiej. On podnosi ręce do góry.*

MARIE: Lepiej, jak pan teraz pójdzie.

BARON: Pani się mnie boi? Jak można się mnie bać? Niech pani na mnie popatrzy.

MARIE: Jestem wdową. Jestem samotna. Niedaleko stąd, w Schlüttersdorf, jeden taki przebrał się za babę, udawał sprzedawcę przędzy i biedne kobiety okradał.

BARON: Straszne świństwo. Ale to nie ja. Ja nie noszę damskich ciuchów. Jestem tylko bosy!

*Ona celuje. On nadstawia się, otwiera ramiona i zostaje w takiej pozycji.*

Dobrze. Niech tak będzie. Ale to jednak deprymujące. Służyłem w Korpusie Ochotników – maszerowałem przeciw Francuzom – i wyszedłem z tego bez najmniejszego szwanku – a teraz kobieta weźmie mnie i zastrzeli, ponieważ jestem bez butów.

*Ona opuszcza broń, śmieją się. Siadają.*

To było na poważnie?

MARIE: Oczywiście, że tak. Nie ma pan pojęcia, z jakim motłochem mam tu codziennie do czynienia. Walczył pan w Korpusie Ochotników?

BARON: Troszeczkę. Znowu się spóźniłem. Kiedy wreszcie uformował się nasz pułk – już przegraliśmy. Drugi raz był jeszcze bardziej deprymujący. Bo wtedy wygraliśmy. Waterloo było dalej, niż myśleliśmy, i jak dotarłem na miejsce, Napoleon już płakał. Ale pan Blücher oprowadził wszystkich spóźnialskich po polu bitwy.

MARIE: Ale pech.

BARON: Bohaterowie muszą być punktualni. Poproszę jeszcze wina.

*Marie nie reaguje.*

Dobrze zapłacę. Proszę! Tu są pieniądze. Widzi pani, wszystko w porządku.

MARIE: To nie są pieniądze. To guzik od płaszcza!

BARON: Och, ja... przepraszam. Ale wstyd. Nie chciałem. Ja niechący. Chwileczkę.

*Przeszukuje spodnie, kamizelkę, niczego nie znajduje.*

Zapomniałem... zapomniałem portfela w płaszczu... oczywiście... w płaszczu...

*Marie zabiera wino.*

Niech pani posłucha – jest w płaszczu! Musi mi pani uwierzyć!

MARIE: Wierzę panu. Wie pan, dlaczego prowadzę tę gospodę? Miałam kiedyś płaszcz. A w nim kupe pieniędzy. Ale zostawiłam go w Pradze. Musi pan już iść.

BARON: Proszę... Dostanie pani te pieniądze. Przysięgam.

MARIE: Późno już.

BARON: Daję pani słowo Barona!



MARIE: Baron... Och, naprawdę?

BARON: Waży się pani wygonić barona na ulicę?

MARIE: Baron, co przychodzi bosy i płaci guzikiem? Idź pan sobie.

BARON: Nie wierzy pani, że jestem baronem?!

Niech pani uważa!

Rano uciskam chłopów,

Po południu daję się błogosławić klechom,

A wieczorem pełnię honory...

– Madame, quelle belle robe!

– Comment va le foie de votre mari???

– Oh, madame, vos joues roses vont bien avec vos collant!

– Madame! De côté! Passez par la porte de côté!

– Mes felicitations pour votre mariage – combien d'argent avez vous gagnè en plus?

BARON: No. A teraz wino? Proszę.

MARIE: Avec plaisir, monsieur le Baron.

Herr Baron von Guzik, oczywiście, dostanie kredyt.

*On nisko się kłania.*

BARON: Pan Baron od Guzika von i zu Pusta Kieszeń czuje się zaszczycony. Pani zna francuski?

MARIE: Trochę. Jeden francuski oficer mnie nauczył.

*Cisza.*

Wiem, co pan sobie teraz myśli. Kochaneczka Francuza.

Cóż, w jakimś sensie nią byłam. Ale nic lepszego w życiu nie mogło mi się przytrafić.

A dlaczego to Herr Baron podróżuje bez obuwia?

BARON: Herr Baron nie mógł się zdecydować, którą z trzech tysięcy par butów ma założyć. I przy wkładaniu siedemset pięćdziesiątej pary – rozdzwonił się dzwon zwiastujący południe. I w tym momencie słońce tak natrętnie załaskotało go w nos – że po prostu wybiegł z domu bez butów.

MARIE: Ale nie jest pan zbiegiem z domu wariatów, prawda?

BARON: Ależ tak. Tak! Jestem! Jestem zbiegiem z domu wariatów administracji państwowej. Najpierw nie brano mnie na serio, ale teraz na pewno mnie już szukają.

MARIE: To ja już zamknę.

BARON: Dobrze. Zamykamy. Niech pani zamyka.

MARIE: Zamknę – jak pan będzie stał przed drzwiami.

BARON: Niech mi pani pozwoli zostać! Niech pani weźmie ten guzik od kamizelki! Kiedyś wymieni go pani za złoto! Jestem sławny.

MARIE: Tak, oczywiście, panie baronie.

BARON: Tak mało znanej sławy, jak ja, jeszcze na świecie nie było. Niech pani wezwie policję. Będą mi salutować – a pani będzie bezpieczna!

MARIE: Nie. I tak mam ich tu cały dzień w gospodzie. Policjanci u nas mają czerwone nosy i jedzie od nich wódą na kilometr. Coraz to jakiś klepie mnie po tyłku i mówi: dzisiaj aresztuję twój szanowny tyłeczek, za obrazę publicznej niemoralności, panienczko!

BARON: I daje się pani?

MARIE: Nie.

BARON: Ale klepać pani się daje?

MARIE: Tak. Bo potem ja aresztuję ich pieniądze.

BARON: Dużo mówi pani o pieniądzach.

MARIE: Ten, kto je ma, nie potrzebuje o nich mówić.

BARON: Coś w tym jest. Mój ojciec prawie nigdy o pieniądzach nie mówił – ale jak stracił majątek na spekulacjach – mówił już wyłącznie o nich. Tak, kiedyś byliśmy bardzo bogaci. Najstarsza arystokracja. Tak stara, że musiała położyć się spać. Ale ja do dziś dzień płacę moją

arystokratycznością jak fałszywą walutą. Rozpoznaje to każdy, natychmiast. A jednak, jest akceptowana, jakby miała pokrycie w złocie.

*Chce nalać sobie wina.*

Więc mogę zostać?

MARIE: Jeśli mi pan powie, co się stało!  
Pan jest podejrzany. A podejrzany człowiek jest dla mnie podejrzany.

BARON: Rozumiem. Co ja mogę powiedzieć? Byłem w drodze, chciałem odpocząć... odetchnąć... To męczące tak wiecznie chodzić w kółko. Więc się położyłem... na wzgórzu ponad rzeką niedaleko miasta. Ułożyłem się wygodnie... Nagle – musiałem uciekać. Niebo zawisło tak nisko nad moją głową, a rzeka, mruczając groźnie, zaczęła na mnie nacierać. Nagle było mi spiesзно – i czegoś tam zapomniałem.

MARIE: Zapomniał pan zajrzeć do gospody. Po prostu był pan zbyt trzeźwy.

BARON: Ma mnie pani za pijaka? To mi schlebia.

MARIE: Dlaczego?

BARON: Ktoś się z diabłem kuma, żeby życie przeskoczyć w galopie. Lubię tak. Pijak to zamaskowany święty – albo odwrotnie. Tęsknota za nieskończonym daje się utopić w winie lub w książeczce do nabożeństwa. Niestety, nie stać mnie ani na jedno, ani na drugie. Jestem po prostu szarą myszką piszczącą po kątach. Widzi pani, dlatego pochlebia mi, kiedy nazywa mnie pani pijakiem. Zdrowie!

MARIE: To dlaczego pan tu przyszedł?

BARON: Czysty przypadek. U pani paliło się jeszcze światło.

*Patrzy na nią długo.*

Albo może nie przypadek? Pani oczy tak cudownie błyszczą... Jak z włoskiej podobizny Madonny...  
Jak pani na imię?

MARIE: Marie...

BARON: No, to już wiemy. Została pani do mnie wysłana. Przez naszą Matkę Boską. Z całą pewnością.

MARIE: Niech pan nie grzeszy.

BARON: To nie był żart.

MARIE: To pana do mnie wysłano. Bo grzeszyłam.

BARON: Ach tak?

MARIE: Jak byłam mała, zawsze chciałam, żeby przyjechał prawdziwy baron, żeby na mnie spojrzął i nie mógł zrobić niczego innego, jak tylko wziąć mnie ze sobą na zamek.  
No i przyszedł baron. Bez butów...

BARON: Czy ten, z którym pani przed chwilą tańczyła, to też baron?

MARIE: Nie.

*Marie znika w ciemności.*

BARON: Co w tym grzesznego? Marzyć o baronie, który cię wyrwie z domu?

MARIE: To pycha. I zuchwałość. Jak miłościwy Bóg posadził najjaśniejszych panów wysoko na choince – to chyba wiedział co robi.

BARON: I kiedy księża zapalają świece i śpiewają swoje pobożne pieśni, wszyscy są szczęśliwi i wzruszeni. A żeby tym tam na górze nie było zbyt anemicznie, od czasu do czasu pan baron rozmnaża się ze służącą, a ojcem jest parobek od koni. Istnieje więc nie tylko niepokalane poczęcie, ale i niepokalane zapłodnienie. Są cuda na świecie. A kto się temu nie dziwi, ten nie przygląda się światu.

MARIE: Ma pan coś przeciwko Kościołowi?

BARON: Zupełnie nic. W Kościele zachowało się wszystko, co ważne i o czym warto mówić. Taki rodzaj poczty butelkowej przez epoki. Ale większość przekazuje tę butelkę tylko w następne ręce i nawet nie wie, co tam w środku naprawdę jest napisane. Tej butelki jednak nie wolno stłuc. W tym sensie jestem zagorzałym katolikiem.

- MARIE: Ale, pan ma w sobie coś zuchwałego. Coś przekornego.
- BARON: Przyznaję – dzisiaj mam szczególnie rozwiązany język. Muszę uważać. Mój dowcipny diabełek sprowadził na mnie już wiele nieszczęścia.
- MARIE: Jest pan jednym z tych wolnomyślicieli?
- BARON: Myśli pani o tych ludziach, którzy odkryli, że głowy lepiej nadają się do ścięcia niż do myślenia? Nie. Nie doceniamy Boga, zakładając, że on chce, żeby tak było, jak jest. Wie pani, co ja myślę? Wszystko jedno w jakich czasach żyje człowiek – Pan Bóg życzy sobie czegoś innego. On jest, że tak powiem – cierniem w tyłku naszej odwiecznej inercji. I jeśli ktoś ci mówi: „Jestem orłem. Chodź, wzniesiemy się w przestworza – ja wiem, gdzie mieszka Bóg” – to z całą pewnością jest on tylko kaczką, która nieustannie krąży nad miejscowym stawikiem i to trochę powietrza na górze święci jako nieskończoność.
- MARIE: Ale pan ma gadane...
- BARON: Imponujące, nieprawdaz? Szkoda, że nie widziała mnie pani przed lustrem! To jest dopiero rozkosz, kiedy można się jeszcze samemu podziwiać i czcić. A potem myk, myk, do cukierni i umazany kremem parlować o skromności...
- MARIE: Nie czuje się pan dobrze w swojej skórze.
- BARON: Gdybym wiedział, czym jest moja skóra, przypuszczalnie czułbym się jeszcze gorzej. Ale ma pani rację, najprawdopodobniej w mojej własnej skórze bardzo często nie czuję się u siebie. A człowiek ciągle tęskni do domu – a gdzie ten dom? Gdzie jest pani dom?
- MARIE: W jednej parze oczu. W głosie. W piosence.
- BARON: Pani... Ja też. Ja też... Zagadkowa istota.
- MARIE: Niech pan dalej nie pyta. Nic więcej nie powiem.

*Cisza.*

BARON: Z głębi tęsknoty lka tu  
Słowicza skarga nocą  
I wokół błyszczą kwiaty,  
I płaczą rzewną rosą.

MARIE: To piękne. Kto to napisał?

BARON: Mój kolega. Z biura. Który ciągle mi się gdzieś zawierusza.

MARIE: Co pan ma na myśli?

BARON: No tak. Bardzo nieregularnie pojawia się w pracy. Nie rozumiem, dlaczego moi zwierzchnicy jeszcze go nie ekskomunikowali.

MARIE: Czy mógłby pan to powtórzyć?

BARON: Niechętnie. Nie cenię zbytnio jego talentu.

MARIE: Proszę!

*Wymuje papiery zza pazuchy.*

BARON: Powala mnie to przekleństwo:  
Noc nawet nie umie dać  
Spokoju, gdy w swym szaleństwie  
Śpi umęczony już świat.

Że dzwony te wciąż tak dźwięczą,  
Że w lesie wiatr cichy gna,  
Za słodkim moim dziecięciem  
Skarga po nocy gdzieś gra.

Że serce pęknać nie chciało,  
Gdy całowała cię śmierć,  
A potem pisać kazalo  
Tę obłąkaną, tę pieśń.

\*\*\*

Chciałem radość ci zgotować  
Pośród bólu, zmagania, trosk,  
Wiernie kroku ci dotrzymać,  
Wskazać drogę w górę, wprost.

Jednak ty, niewinna moja,  
Zostawiłaś z tyłu mnie  
I znalazłaś miejsce swoje,  
Gdzie już nie dosięgnę cię.

*Przerzywa.*

MARIE: Dalej.

BARON: Naprawdę nie ma jeszcze pani dość?

*Czyta.*

Świat się obraca dalej,  
Ludzie przychodzą, idą,  
Jakby się nic nie stało,  
Jakby cię tu nie było.

Jakże tęsknię za nowym,  
Tak wyjść w las, na polanę!  
Naturo, w złym i dobrym  
Ty mi wierna zostaniesz.

Z głębi tęsknoty lka tu  
Słowicza skarga nocą  
I wokół błyszczą kwiaty,  
I płaczą rzewną rosą.

A ponad gór szczytami  
Doliny kwietne minie,  
Nad cichymi lasami  
Żalobna pieśń popłynie.

Wtedy w mym sercu czuję,  
Że Pan jest tu, na dworze –  
I wie, jak mi to serce  
Z bólu pęknąć nie może!

\*\*\*

Z dała biją zegary,  
Noc okna czernią obleka,  
Lampa ponuro się pali,  
Łóżeczko na ciebie czeka.

Wiatr tylko, zawodząc z bólu,  
Obchodzi dom nasz cały,  
A my, wokół stołu,  
W skargę jego wsluchani.

Coś stuka, jakby cicho  
Do naszych drzwi ktoś zapukał.  
– Zgubiła nam się tylko,  
Zmęczona spoczynku szuka.

O biedni głupcy, żalośni!  
To myśmy się zagubili,  
Stracili drogę w ciemności –  
A tyś do domu wróciła.

*Cisza.*

MARIE: To jest... to piękne. Jak modlitwa. Pański kolega przeżył coś strasznego. Chyba umarło mu dziecko.

BARON: Tak. Małańka dziewczynka. Dwa i pół roku. Z dnia na dzień. Jak dmuchawiec. Lekki podmuch i już nie ma dmuchawca.

MARIE: Współczuję mu. To zdolny człowiek...

BARON: Jako tako. Ale jako urzędnik – do niczego.

MARIE: To nie ma znaczenia.



BARON: Ma, i to jakie! Muszę wszystko za niego robić. Dlatego jestem taki chudy! Przez to regularnie spóźniam się do domu na obiad – przychodzę, kiedy moje dzieci wszystko mi już wyżrą.

MARIE: Nie współczuje mu pan?

BARON: Nie.

MARIE: Umarło mu dziecko!

BARON: Wszędzie umierają dzieci. Dzień w dzień. Mój wuj przeżył wszystkie dwanaścioro swoich dzieci. Umieranie istnieje na świecie, aby życie nie umarło.

MARIE: Ale z dzieckiem, to co innego. Dziecko nic nikomu nie zawiniło!

BARON: To w takim razie, dlaczego Bóg mu je zabrał? Tak, popatrz pani. To są dopiero pytania, co?

*Cisza.*

Widzi tam pani – Najświętszą Panienkę?

MARIE: Nic nie widzę. Tam nic nie ma.

BARON: Za każdym razem się pojawia, kiedy wymówi się Jej imię. Temu musi pani zaufać. Niech pani patrzy. Jak ona się uśmiecha? Tak miłosiernie. Jakże łagodnie i litościwie spogląda z góry na swoje dziecko... Jednak, co to? Ona trzyma teraz dziecko jakoś niezgrabnie, podnosi wzrok i jakoś dziwnie przyciska je do siebie... jakby śniła... patrzy gdzieś w dal... Ale uwaga! Dziecko nie rusza już nóżkami! Co się stało?! Powraca wzrokiem do dziecka, zauważa swoją niezręczność i uśmiecha się. Dlaczego ona się uśmiecha? Całuje mocno zimne czoło niemowlęcia – i nagle – to dziecko – zaczyna znowu oddychać... szczęśliwe porusza nóżkami jak przedtem. I znowu dumna matka podnosi wzrok i mocno, coraz mocniej przyciska dziecko do siebie...

MARIE: Gada pan jak diabeł...

BARON: Diabeł jest jednym z głosów w boskim chórze, który dla nas śpiewa. Tego głosu nie chcemy jednak słuchać – bo nie moglibyśmy już robić takich pobożnych min! Ludzi fascynuje prawda, a nawet prawda budząca grozę – ale jeśli ją odkryją – uciekają w panice na odpust, żeby się rozerwać. Ratuują swoje dobre samopoczucie. Bo kto lubi widzieć diabła w tym, co kocha?

MARIE: Niechże pan przestanie! Pan grzeszy!

BARON: Tak? Nie wiem. Czy tak nie może być, że w niektórych przypadkach grzech nas bardziej rozwija niż obyczajność? Światło trzeba wydobywać z ciemności. Nieść je poprzez ciemność. Samemu mi to ciężko przychodzi.

*Pije.*

Dobre wino. Bardzo dobre.

MARIE: Mój świętej pamięci mąż był celnikiem. Znał się.

BARON: Rozumiem. A że najprawdopodobniej nie mógł zapobiec przemytowi wina – tylko go nadzorował – najlepszym wyjściem było założyć szynk.

MARIE: Nie był lobuzem!

BARON: Tylko trochę. Jak my wszyscy. Niech się pani nie oburza. Wszystko jedno, w jaki sposób mysz dobierze się do słoninki z pułapki – najważniejsze, że się dobierze. Jeśliby od jutra na świecie dochodziły do skutku tylko uczciwe transakcje – świat zbankrutowałby w jednej chwili.

MARIE: Jest pan rzeczywiście urzędnikiem państwowym?

BARON: Tak. Ale proszę się nie obawiać. Nie zamierzam niczego przeciw przemytnikom przedsięwziąć. Sam jestem jednym z nich.

MARIE: Ach, tak?

BARON: Codziennie rano szmugluję do urzędu moje prawdziwe myśli, a po południu je wynoszę. Na razie mnie jeszcze nie złapali, ale obawiam się, że już niedługo. Trudno mi już je ukrywać. Biją ze mnie wszystkimi porami.

MARIE: Co to za myśli?

BARON: Nie. Nie odważę się ich wypowiedzieć. Są skłonne się usamodzielnąć, uciec i krzyknąć: To on mnie splodził! To on mnie splodził! A potem...

MARIE: Co potem?



BARON: Stane się tym, o czym dawno temu marzyłem. Niczym. Nicponiem. Nic nie chcieć i nic nie mieć, oprócz samego siebie. Ale większość nigdy nie ma dość. A dlaczego? Bo człowiek jest tchórzliwy... Tak nędznie tchórzliwy... zdradza samego siebie i innych, daje się jak niedźwiadek w cyrku uwiązać do łańcucha i przed zubożającą publicznością za kilka marnych klepaków wykonuje jakieś żalosne podrygi... Są tylko dwie drogi: albo wejść w szablon, albo pozostać obok. Ale jak już się raz w to wejdzie – to będą wokół ciebie inni, którzy żyją z tego, że tak dobrze pasujesz do szablonu. Będą patrzeć na ciebie rozanielonym wzrokiem i mówić: „Mój dobry mężu”. I wtedy znowu zaciskasz sobie krawat na szyi i chwiejnym krokiem wracasz do biura. Boże święty, jak ja chciałem trafić gdzie indziej... Ale dzisiaj jestem tu, u pani, madame Marie. Przed pani oczyma, które tak błyszczą!

*Wypija wino do końca.*

MARIE: Jest pan żonaty?

BARON: Ożeniony! Ożeniony! Wypiłem kilka kieliszków szampana za dużo, mój wzrok przyciągnęła jedna świeżutka twarzyczka w blasku świec, zacząłem żartować, żarty te kontynuowałem w kilku lekkomyślnych liścikach i w czasie następnej wizyty, a kiedy już chciałem zapomnieć – jej rodzina przydybała mnie w mieście, zawlokła do najbliższego kościoła, zrobiła piekło i ukrzyżowała na krzyżu małżeństwa. A że honor był jedyną rzeczą, która jako baronowi jeszcze mi pozostała, złożyłem przysięgę, która kosztowała mnie nie więcej niż moje marzenia. Nie chcę, żeby mnie pani źle rozumiała – mam wspaniałą żonę. Jestem jej bardzo oddany. Ale najprawdopodobniej cierpi z mojego powodu. Bo ja jestem dzieckiem. Nigdy nie przestałem nim być. Jestem bardziej jednym z jej dzieci niż mężem. Nie rozumie pani? Na przykład – jak ją dzieci rozzłościły, surowym tonem wyganiała je do ciemnicy. Do ciemnicy! To taka komórka pod schodami. Biegłem zawsze za nimi, siadałem w ciemności i żartami, bajkami próbowałem urozmaicić im długi czas aresztu. Nigdy w tym przedsiębiorstwie, jakim jest dom, nie czułem się lepiej niż tam wtedy. W ciemnym pokoju. Jako dziecko z dziećmi. To jest problem. Czy to jest problem, że nigdy nie poczułem się tak naprawdę dorosły? I nigdy nie wyszedłem, nie chciałem wyjść z mojego rajskiego ogródeczka. Mój wzrok co rano wdziewa krótkie spodenki i skacze przez plot w nieskończoność.

MARIE: Nawet w domu przemycą pan myśli, nieprawdaż?

BARON: W te i wewte.

MARIE: Ale dokąd? Dokąd?

BARON: Na świeże powietrze. Że też rzeczy nigdy nie dotykają się nawzajem... są tak – oddalone od siebie... i jedno żyje tak daleko od drugiego... jak sarna na polanie... i trzeba uważać – bo w lesie są myśliwi. Oni po prostu strzelają, kiedy im się podoba – albo jeśli nie mogą znieść tych saren... Jak byłem mały, miałem zabawkę – śmiejącego się pana młodego. Można było kluczykiem nakręcić sprężynkę – i on, ubrany we frak, kłaniał się cały w lansadach, dopóki mechanizm się nie wyczerpał... Tak! Tak!

*Naśladuje zabawkę, zapomina się w tym.*

Wtedy myślałem, że to żart – teraz wiem, że mój ojciec chciał mnie ostrzec, wstawiając mi go do pokoju. O, tutaj mam coś – pasującego.

MARIE: Tego kolegi?

BARON: A kogo? Nikt więcej w urzędzie nie pisze.  
Niech pani słucha:

Nocą stosy akt polykać,  
Brednie jakieś wiernie pleść  
I w kieratu takt kuśtykać  
Jak wół, umiem – prosta rzecz.

Cóż za bezczelność! – Ale zaraz będzie lepsze!

Lecz przekonać już się nie dam,  
Że te graty i rupiecie  
Są cudownym darem nieba,  
Bardzo ważną rzeczą w świecie.

Tu miał na myśli mnie!

A mydlenie ludzkich oczu,  
Że na ostrzu pióra mego  
Świat zmurszały mógłbym oprzeć,  
za grę błazna mam głupiego.

To jest zdrada stanu! Haniebna!

A że w środku koła tego  
Jak Pasquino sterczę sam,  
Świat zostawia mnie samego –  
A ja święty spokój mam!

Jak to Radca Stanu przeczyta...!

MARIE: Chce pan go oczernić?

BARON: Jak będzie trzeba.

MARIE: Skąd pan ma te wiersze?

BARON: Zwinąłem. Pewnego ranka pisał jak oszalaly. A że w naszym urzędzie wszyscy udają, że są bardzo zajęci, a mój kolega najwidoczniej był rzeczywiście bardzo pochłonięty pracą, co wzbudziło moje najgorsze podejrzenia. W odpowiednim momencie, kiedy zostawił te kartki na widoku, jednym susem dopadłem jego pulpitu i zabezpieczyłem corpus delicti. Teraz mam go w ręce. Wie, że mam te jego wiersze.

MARIE: To podle!

BARON: Tak. Ale mądre.

MARIE: Tak podejść koleże! A on przecież napisał tylko to, co pan tak naprawdę myśli!

BARON: Ale on się zdradził – a ja nie. Ach, jakie to piękne uczucie mieć obok siebie kogoś, kto się jeszcze bardziej boi niż ty. To jak gorset, który napina twój kalendarz i utrzymuje cię w pionie przy państwowym pulpicie.

MARIE: Że pan się tak do wszystkiego przyznaje...?

BARON: To są te małe zwycięstwa, które pozwalają przeżyć. I miałbym je zatrzymać dla siebie?

MARIE: Jest pan z tego dumny?

BARON: Tylko warunkowo. Największą satysfakcję sprawia mi uczucie, że się – ogólnie rzecz biorąc – tak wspaniale zostaje wchłonięty. Że jest się częścią procesów przyrody.

MARIE: Co pan przez to rozumie?

BARON: Widzi pani, trzy typy przetrwają w lesie dłużej niż inni: ci dobrze opancerzeni, ci szybcy i ci dobrze zamaskowani. Tych dobrze opancerzonych spotyka się na najwyższym szczyblu, tych szybkich na średnim, a zamaskowanych na najniższym.

MARIE: A pan jest z tych dobrze zamaskowanych.

BARON: Tak, więcej nie dało rady.  
Jeszcze jedną szklaneczkę tego wybornie przeszumgłowanego wina.

*Ona nie reaguje.*

Proszę?

*Nie reaguje.*

Ach tak, pieniądze. O to chodzi. Pieniądze to zawsze jest problem. Pieniądze to jedyna choroba, która wycieńcza, jeśli się jej nie ma. I więcej ludzi zabiła niż wszystkie epidemie razem wzięte. A ci, którzy mają tę chorobę leczyć, nawzajem się nią regularnie zarażają. Ale o czym ja gadam, wszyscy to wiedzą i są zadowoleni.

*Odrywa guzik od kamizelki.*

Proszę to wziąć. Każdy guzik zamieni pani kiedyś na złoto.

MARIE: To nie przez pieniądze. Nie lubię już pana. W taki okrutny sposób opowiedział pan przed chwilą o tym koledze, któremu umarło dziecko. To nie po chrześcijańsku. Idę się położyć. A pan niech sobie robi, co pan chce. Adieu.

*Ona znika w ciemności.*

BARON: A to po chrześcijańsku, że Bóg mu dziecko zabrał?

*Słychać dźwięki, głosy, strzępy muzyki, katolickiej liturgii.*

Jestem samotny... tonę... topię się... wszystko to tylko sen... Kiedy wreszcie dotknę dna? Spycha mnie prąd... spycha mnie prąd... Lecę za tobą, mój aniołku... Ty mnie prowadzisz... umarłaś, aby mnie poprowadzić... taki to ma sens!

*Pada na podłogę, skręca się z bólu, krzyczy. Marie znowu się pojawia.*

MARIE: Jest pan okropnie egzaltowanym człowiekiem.

BARON: Pani jest tutaj – pani jest rzeczywista.

MARIE: Co się panu znowu stało?

BARON: Czy jest pani pewna, że nam się to wszystko nie śni?

MARIE: Mam wielką potrzebę, aby pójść do łóżka. Więc najprawdopodobniej nie śpię.

BARON: Im uważniej człowiek przygląda się sobie i światu, tym mniej jasne staje się, czy aby na pewno nie śnimy. Ci, którzy nigdy w to nie wątpią, śpią być może mocniej niż ci wątpiący? Pani jest piękną istotą.

MARIE: Proszę wziąć pod uwagę, że ma pan żonę, panie baronie.

BARON: Którą kocham! Ale mimo to Bóg obdarował mnie wzrokiem – i jeszcze dodał usta, żebym mógł opisać, to co widzę. Pani jest kwiatem, który kwitnie.

MARIE: Jedyne, co tutaj kwitnie, to kiszona kapusta w piwnicy.

BARON: Nie chciałem pani urazić!

MARIE: Proszę się nie obawiać. Jestem karczmarką. Do wszystkiego przywykłam. Baran z pana, baronie. Jest się tym, czym się jest – jak się człowiek zacznie porównywać z innymi – zaczyna się bieda. A pan za dużo zastanawia się nad sobą.

BARON: Mam do tego prawo!

MARIE: Ach tak?

BARON: Naturalne prawo, że tak powiem!

MARIE: O, naprawdę, Herr Baron von Guzik?

BARON: Jestem poetą!

MARIE: Och...

BARON: Tak.





MARIE: Jest pan chwalipiętą, który niczym złoto puszcza w obieg swoje guziki, przychodzi na bosaka i podaje się za barona!

BARON: Jestem poetą!

MARIE: Nie jest pan!

BARON: Jednak jestem!

MARIE: Nie!

BARON: A co to takiego?

*Podnosi ze stołu kartkę papieru i czyta.*

Spod skrzydeł cichych dzieciństwa sielskiego  
Jakaś mnie siła wyrwała grzesznego  
I w szczerym polu jam postawił nogę,  
Drogi do domu odnaleźć nie mogę.

Uludny obraz ścigam poprzez życie.  
Gdzie jest myśliwy? A gdzie zwierzę dzikie?  
Wiatr włos mi targa i śniegiem zawiewa,  
Świecie, tyś zimny i litości nie masz!

Pobożne dziecię w domu cichym twoim,  
Na próżno wiecznie tak przy oknie stoisz!  
Nie pytaj, dziecko, skąd i dokąd zmierzam.  
Nie wiem, gdzie jestem, i nie wiem, w co wierzę!

Winą i skrucną rozdarta ma pierś!  
Rozkosz rozpaczy zagnała mnie gdzieś,  
W pędzie łamałem i deptałem kwiecie,  
Wianuszka z kwiatów nie splecie mi dziecię!

Chciałbym się ukryć gdzieś w najgłębszym lesie,  
Niech krzyk i lament leśne echo niesie,  
I chciałbym konno gnać na świata koniec,  
Gdzie gaśnie księżyc i gdzie słońce tonie.

Tam, gdzie się wieczność zawrotna otwiera,  
Gdzie wielka przestrzeń morska cię zabiera,  
Tam gdzie żaglowce znikają w jej toni,  
Tam może wreszcie spokój mnie pochlonie.

*Cisza.*

MARIE: Tak. To jest piękne. Tak piękne, że chce się płakać ze wzruszenia.

BARON: Prawda...? Dzisiaj rano to napisałem. Po śniadaniu.

*Ona podchodzi do stołu, bierze kartkę, porównuje z inną.*

MARIE: To nie pan napisał. To ten pański kolega z biura!

BARON: To moje!

MARIE: A dlaczego ma pan ten sam charakter pisma?

BARON: Dokładnie odwrotnie! To on ma mój charakter pisma.

MARIE: Znaczy, że malpuje pana?

BARON: Tak! Nie.

MARIE: Więc jak?

BARON: To ja jestem. Ten poeta.

*Ona czyta raz jeszcze.*

MARIE: Tam, gdzie się wieczność zawrotna otwiera,  
Gdzie wielka przestrzeń morską cię zabiera,  
Tam gdzie żaglowce znikają w jej toni,  
Tam może wreszcie spokój mnie pochłonie.

Nie... pan nie mógł tego napisać...

BARON: Dlaczego nie?

MARIE: Nie wygląda pan na takiego.

BARON: A czy słowik wygląda, że tak śpiewa? Proszę bardzo. Napiszę pani wiersz na dowolny temat.  
Proszę coś zaproponować?

MARIE: Cokolwiek?

BARON: Cokolwiek.

MARIE: Kiszona kapusta.

BARON: To – to niemożliwe.

MARIE: A widzi pan.

BARON: Żaden poeta na świecie nie wyda z siebie nawet jednego wersu o kiszonej kapuście.

MARIE: Boso!

BARON: Zobaczymy...

*Chodzi w kółko, zastanawia się.*

Nie wyżyjesz z pieśni samej,  
Bo poezja boso biega,  
Odwróciłem się plecami  
do piękności świata tego.

*Słup światła. Kiedy formuluje wiersz, idzie powoli w głąb sceny.*

Długo przez świat byłem gnany  
Przez wariacki, mylny pośpiech,  
Ale zawsze zostawałem  
Tym niewydarzonym gościem.

*Zatrzymuje się, skupiony na sobie, mówi wolno, jakby odkrywał bardzo ważną prawdę.*

Kiedy toast był wznoszony,  
Na biesiady przybywałem,  
A że byłem wciąż spóźniony,  
Czyje zdrowie – nie wiedziałem.

Lecz musiałem uniżenie  
Przed fortuną bić pokłony,  
Aż zostałem tak do ziemi  
Pochylony, przygarbiony.

Gdym znów z klęczek wstał niełatwo,  
Tom już wolny, dumny taki,  
ujrzał górę, wąwóz, światło,  
A na uschłych drzewach – kwiaty.

Świata łapa ciężka, Boże,  
Więc bez butów można iść,  
Lecz czy Bóg wędrowca może  
Chronić zorzą niczym liść?

*Cisza.*

MARIE: Teraz już wierzę, że pan to jest pan.

*Cisza.*

Jak pan to zrobił – tak szybko?

BARON: Cały czas coś we mnie szemrze. Muszę się tylko wsłuchać.

MARIE: I zawsze tak mrocznie?

BARON: Raz tak, raz tak.

MARIE: Jesteś znany, Panie?

BARON: Jestem najslawniejszym nieznanym poetą, jakiego można sobie wyobrazić! Wygodnie ze mną mają. Mogą mnie sobie jako osła dardanelskiego postawić w gablotce. Moje wiersze smakują jak deser po świątecznym pieczystym – słodka jak ulepek odwieczna breja, spożyta przed zachodem słońca, z pacniętą kupką boskiej bitej śmietany. Ale tak naprawdę – tak naprawdę – w moich wierszach rządzi strach.

Rzuciłem się w ramiona natury – oddałem się jej cały, a ona odwdzieczyła mi się niewypowiedzianą rozkoszą. Ale kiedy tak leżałem na jej piersi... nagle nad uchem usłyszałem potworne mlaskanie... podniosłem wzrok i zobaczyłem wielką przeżuwającą paszczę, w której przelyku znikaly wylawiane z przestworzy ciała... i wtedy stał się strach.

I zacząłem uciekać... wybiegłem z lasu – błądziłem po pustych polach jak zraniona sarna i nie mogłem się odnaleźć. Wtedy usłyszałem, że mnie woła mój przyjaciel – ksiądz. Uspokoilem się, Przenajświętszy Sakrament wrócił mnie do życia – i urodziło mi się jeszcze jedno dziecko i potraktowałem to jako dar boży – prezent na zgodę...

Moja córeczka – moja Anna... Jej oczy były moim domem! A potem, teraz w listopadzie, umarła... z dnia na dzień. Jeszcze wieczorem była wesola, baraszkowała – w nocy przyszła gorączka – i następnego dnia po południu była już nieżywa... Nieżywa! Wtedy znowu stanąłem przed żującą paszczą... Bardziej martwy niż kawał ołowiu przebrnąłem przez ostatnie miesiące... I dziś rano, kiedy pierwsze tchnienie wiosny przemknęło przez ogród – coś we mnie zaczęło krzyczeć i wołać: jeżeli to, co ma miejsce, jest wolą Wszechmocnego, to ten Bóg jest zły!

MARIE: Wybaw nas...

BARON: I wybiegłem przed siebie i wzniosłem przeciw niemu wielki lament. Wyczerpany trafilem na brzeg rzeki, położyłem się i zamknąłem oczy. Nagle rzeka zaczęła do mnie przemawiać i im bardziej się ściemniało, tym wyraźniej odgadywałem, czego ode mnie chce – tym wyżej wzbierała falą wprost na mnie. Wtedy wstałem, powiesiłem na wierzbie płaszcz, pod nim ułożyłem buty – jak gdybym miał iść spać – i powoli wchodziłem do wody, coraz głębiej. I tak zostałem... Gdzieś tam pogodzony z bólem i moim chybionym życiem... i tak stałem, gotowy oddać się tej rzece, kiedy nagle z ciemności wyłoniła się łódź rybacka, a na niej olbrzymi cień. Postać w kapturze skierowała na mnie wieki drąg i kiedy była na mojej wysokości, uderzyła mnie w pierś, tak mocno,



że półprzytomny upadłem w wodę... To brutalne uderzenie obudziło we mnie wolę walki. Człogałem się i gryzłem – gryzłem tę wodę! Dławiąc się i kaszląc, wyszedłem jakoś na brzeg i zataczając się, poszedłem w kierunku ciemnych wież miasta.

MARIE: I tak dotarł pan tutaj. Mój Boże, o mało co nie popełnił pan najcięższego grzechu...

BARON: Grzechu? Ja? Wiem tylko jedno: odebrał mi moją – swoją córeczkę. Była taka delikatna, łagodna i niewinna. Co ja ci uczyniłem – co moja córeczka ci uczyniła?! Boże?! Nie wątpię w twoje istnienie – jesteś. Doświadczyłem ciebie. Jesteś! Ale jaki jesteś naprawdę? Kochasz?

MARIE: To nie ma sensu – pan się całkiem zagryzie!

BARON: On dał mi rozsądek – więc musi pozwolić na pytania!  
A jeśli nie dostanę odpowiedzi – to, to też jest odpowiedź. On wie, że jedyną bronią, jaką przeciw niemu posiadam, jest moja śmierć, którą mu odbieram. Decyzja, kiedy odejdę, jest moją wolnością i moim protestem. On to dobrze wie. Dlatego Charon za pierwszym razem mnie nie przepuścił. Za drugim razem mu się to nie uda.

*Odwraca się, chce wyjść.*

MARIE: Niech pan zaczeka! – Niech pan patrzy! Niech pan na mnie popatrzy!

*Ona stoi plecami do publiczności, rozpinając ubranie, pokazuje się naga.*

BARON: O Boże... Kto to pani zrobił?

MARIE: Ludzie. Byłam jeszcze młodą dziewczyną, kiedy przyszli tu Francuzi. Wtargnęli do naszego domu, zamordowali moją matkę i ojca, zaspokoili się moim ciałem, a kiedy już skończyli, wylali na mnie zawartość olejowej lampy i zrobili sobie ze mnie ognisko, wokół którego tańczyli z butelkami w dłoniach.

Nagle w izbie zjawił się młody francuski leutnant, zdusił płaszczem ogień i zadźgał moich oprawców. Potem, pochyliwszy się nade mną, wziął w dłonie moją twarz i przez lzy powiedział: *Excusez-moi*. Ciągłe powtarzał: *Excusez-moi*. Aż zemdlalam i jego głos zniknął w ciemności. Prawie rok mnie pielęgnował. Leżałam w jego pokoju. Sprowadzał najlepszych lekarzy, przynosił mi wszystko i zawsze łagodnie i czule do mnie przemawiał. Ale nie jak zakochany mężczyzna – nie! Z dobrocią, która wszystko przenikała, rozświećlała i nie chciała nic w zamian. Nigdy nie



zrobił najmniejszego gestu, aby się do mnie fizycznie zbliżyć. Po prostu ze mną był, ze swoją dobrocią i wielkodusznością, uczył mnie francuskiego, a wieczorami czytał najrozmaitsze historie, z których tylko niewielką część mogłam zrozumieć – ale nigdy nie chciałam, żeby przestał – bo tak kochałam słuchać jego głosu. Czasem sprowadzał swego ordynansa, który umiał grać na klawikordzie. I tańczyliśmy. Kiedyś go zapytałam, dlaczego to wszystko robi? Czy się wstydzi za swoich rodaków, którzy zrobili mi krzywdę? A on odpowiedział: Tak, że się wstydzi, ale nie za rodaków. Potem musiał iść z wojskiem dalej, na bitwy w obce kraje. Zanim wyruszył, zabezpieczył mnie w pieniądze i obiecał, że wróci tak szybko, jak tylko będzie mógł. I tak też zrobił. Ale ten człowiek, który stanął przede mną, był cieniem samego siebie. Wprawdzie z głębi oczu wyzierała jeszcze ta dobroć – ale dusza i ciało były złamane. Wstał i powiedział: tak bardzo się wstydzę. I wyszedł z pokoju. Następnego dnia rano znalazłam go powieszzonego. Od tego czasu spotkało mnie wiele okropności i kiedy potrzebowałam oparcia w Bogu, aby przetrwać – zawsze były to jego oczy, które świetliste, wylaniały się z ciemności, i słyszałam głos, który mówił: *Excusez-moi. Excusez-moi...*

*Cisza.*

Panie baronie, byli ludzie, którzy mnie poparzyli – i był ten jeden człowiek, który mnie uratował i który okazał mi największą miłość, jaką kiedykolwiek zaznałam. I co ja mam myśleć? Wyobraziłam sobie, że Bóg chciał mi pomóc poprzez tego leutnanta. A ci, co chcieli mnie spalić, po prostu Go nie znali.

*Długa cisza.*

BARON: Marie... Marie...

*Cisza.*

Pan baron, pan poeta jest jednooki... Jak pirat przywłaszczał sobie świat... Ale pani ma dwoje oczu... których blask widać z daleka... Tak, pani więcej ode mnie widziała. Ja szukałem Boga w przyrodzie i sądziłem, że pokazał mi się cały. Ale to nieprawda. Widziałem tylko jego ciało – ale nie widziałem jego oczu. Pani widziała jego oczy. One przeminęły – jak oczy mojej córeczki – ale to, co w nich było, nigdy nie umrze – a jednocześnie będzie umierać ciągle na nowo. Musimy Go zdjąć z tego naszego bajkowego tronu... sprowadzić tu do nas, na dół. Żaden Bóg nie może umrzeć za nasze grzechy – ale przez nasze grzechy w każdej chwili.

*On patrzy na nią.*

Są na świecie okrucieństwa, ale jeśli będziemy czerpać w sobie jego miłość i oddawać Go dalej – z oczu do oczu – wtedy przetrwamy. Rozumie pani?

MARIE: Nigdy nie zebrałam tego w myślach w taką całość. Nigdy tak tego nie ubrałam w słowa.

BARON: Może to jest moja powinność: składać w słowa to, co wielu przeczuwa, niektórzy wiedzą. Trzeba sobie tylko przypomnieć, co ta ciemna paszcza mruzczała... Ale to są tylko ludzkie słowa z ludzkich umysłów... przedłużające się jąkanie... które może się mylić.

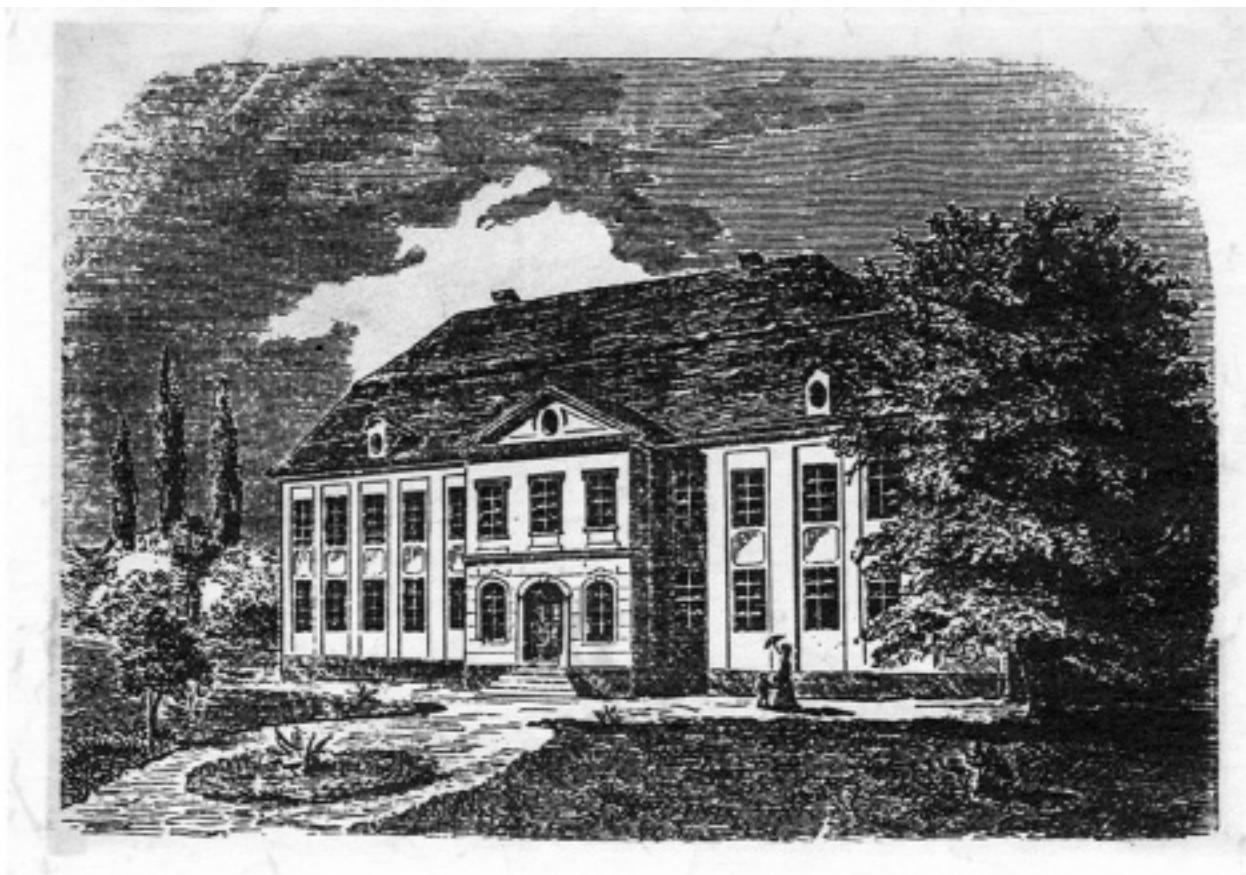
MARIE: Myśli pan, że może tak być, że nam się to wszystko zdaje?

BARON: To, co sobie wyobrażamy – istnieje. Pamiętam, jak u nas na zamku, na urodziny ojca, grała zawsze taka mała orkiestra – i największą atrakcją był właśnie taniec. Pewnego razu orkiestra ugrzęzła gdzieś w śniegach i nie dotarła. Mój ojciec tylko się uśmiechnął – i mimo to zaprosił wszystkich do tańca. I z wielką przyjemnością tańczyliśmy do późna w nocy przy niemych dźwiękach muzyki.

*Zaprasza ją do tańca.*

**KONIEC**

Berlin 10.10.2007



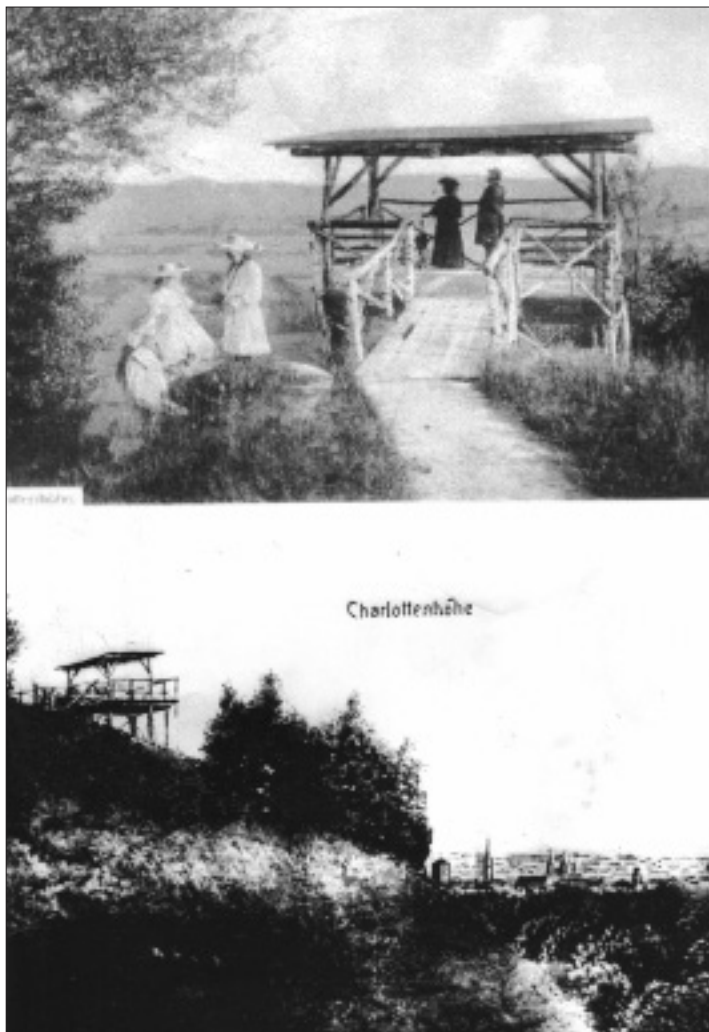
Schloss Lubowitz – Pałac w Łubowicach – dom rodzinny



Grób braciuszka Augusta i siostrzyczki Henrietty  
na cmentarzu rodzinnym w Łubowicach



Nysa przed wojną. Dom, w którym zmarł poeta i znajdowało się Muzeum Eichendorffa. Zbombardowany w 1945 r.



Charlottenhöhe (Wzgórze Szarlotty) w Nysie,  
na którym w 1902 r. wzniesiono altanę zwaną Eichendorffwarte  
(Wartownią Eichendorffa)



Wartownia, zwana dzisiaj Altaną Eichendorffa, odbudowana w 150. rocznicę śmierci Poety



Pomnik Poety w Nysie





Drogowskaz do grobu i grób Poety oraz jego żony Luisy  
na cmentarzu Jerozolimskim w Nysie

## SPIS ILUSTRACJI

- Str. 23. Eichendorff młody, K.J. Raabe, 1809, obraz olejny (Muzeum Eichendorffa w Wangen).
- Str. 25. Grób Poety w zimie. Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 27. Nysa. Uliczny szyld. Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 31. Rękopis wiersza i autograf Poety.
- Str. 33. Wieżowce w Nowym Jorku. Fot. Kamil Macniak.
- Str. 37. Wschodzący księżyc. Fot. Kama Trojak.
- Str. 39. Pont de Normandie. Fot. Jérôme Bastianelli.
- Str. 41. „Na skraju lasu” Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 43. „Śmierć labędzia”. Fot. Piotr Kludka.
- Str. 45. Zachód słońca. Fot. Kama Trojak.
- Str. 47. Człowiek w sieci. Fot. Kama Trojak.
- Str. 49. Fotografia z pierwszej wojny światowej. Autor nieznany.
- Str. 51. Hasenweg (Zajęcza Ścieżka) w parku pałacowym w Łubowicach. Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 53. „Na przekór”. Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 55. „Gdańsk 2011”. Fot. Piotr Kludka.
- Str. 59. Portret poety, Franz Kugler, 1830.

- Str. 63. Lalka córki. Fot. Jock Lauterer.
- Str. 65. „Grób w morzu”. Fot. Fred Apke.
- Str. 67. „Gdzie ten człowiek?”. Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 71. Ruiny Pałacu w Łubowicach. Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 73. Słowik z metalu. Autor nieznany. Źródło:  
<http://www.arsmundi.de/bronzefigur-singende-nachtigall-1fe2lh7tadc.html>.
- Str. 77. Napis na ruinach Pałacu w Łubowicach: „Jeszcze żadnemu poecie ojczyzna nie pozwoliła odejść”  
Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 83. „Sosny o zachodzie”. Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 85. „Pomiędzy”. Fot. Marta Klubowicz.
- Str. 86. Fotografia Poety z 1857 – roku śmierci.
- Str. 87. Robert Mika jako Poeta w przedstawieniu „Pan baron przychodzi boso i płaci guzikiem”  
w reżyserii Freda Apke. Nysa 2007. Fot. Zbigniew Walewski.
- Str. 90. Marta Klubowicz jako Marie w przedstawieniu „Pan baron przychodzi boso i płaci guzikiem”  
w reżyserii Freda Apke. Nysa 2007. Fot. Zbigniew Walewski.
- Str. 94–119. Fotosy z tegoż spektaklu. Fot. Zbigniew Walewski.
- Str. 123–129 Opisy ilustracji bezpośrednio pod zdjęciami.
- Zdjęcie okładkowe – fot. Kama Trojak.



## LITERATURA:

1. *Z życia nicponia*. Nowela. Przel. Waleria Kędzierska. Ilustracje Tadeusz Wolniewicz. Poznań, Warszawa, Wilno, Lublin: Księgarnia św. Wojciecha 1924. (=Chwila wywczasu 17).
2. *Wiersze*. Wybór, opracowanie Ryszard Kincel. Tłumacze: Zenon Przesmycki, Stefan Napierski, Kazimiera Illakowiczówna, Bolesław Lubosz. Racibórz: Oficyna Silesia 1990.
3. *Poezje / Gedichte. Z życia nicponia* [Aus dem Leben eines Taugenichts]. Übersetzung und Vorwort: Andrzej Lam. Warszawa: Verum und Opole: Konwersatorium im. J. v. Eichendorffa 1997, s. 370 (Niemiecka Poezja i Proza).
4. *Joseph von Eichendorff. Ein Lebensbild. Obraz życia*. Volkmar Stein. Würzburg: 2001. Bergstadtverlag Wilhelm Gottlieb Korn.
5. *Marmurowy posąg / Das Marmorbild*. Übersetzt von Margarethe Korzeniewicz. Łubowice, Opole: Wyd. Instytut Śląski 2003 s. 145 (Perły Literatury Śląskiej; 1).
6. *Z życia nicponia / Aus dem Leben eines Taugenichts*. Ins Polnische von Jacek St. Buras. Scherenschnitte von Luise Neupert. Nachwort von Peter Horst Neumann. Würzburg: Bergstadtverlag 2003.
7. *Wiosna i miłość*. Poezje. Przełożył, przedmową poprzedził, metrykami tekstów i indeksami opatrzył Andrzej Lam. Warszawa: Dom Wyd. Elipsa, 2004 s. 358.
8. *Wiersze / Gedichte*. Übersetzung und Vorwort: Margarethe Korzeniewicz. Łubowice, Opole: Wydaw. Instytut Śląski 2005, s. 105 (Perły Literatury Śląskiej -Juwelen Schlesischer Literatur).
9. *Niegdys przeżyłem / Erlebtes*. Edycja dwujęzyczna. Przekład: Wojciech Kunicki, Przypisy: Natalia Żarska. Kraków: Arcana 2007.
10. *Dwanaście wierszy*. Przel. Ks. Jerzy Szymik. Katowice: Księgarnia św. Jacka 2007.

## SPIS TREŚCI

|  |    |
|--|----|
| OTO POETA!                                   | 7  |
| FREI I GESCHLOSSEN, CZYLI SŁOWO OD TŁUMACZA  | 14 |
| ŚMIERĆ ROMANTYZMU / DER TOD DER ROMANTIK     | 20 |
| LOS POETY / DICHTERLOS                       | 24 |
| SZCZĘŚLIWY WĘDROWIEC / DER FROHE WANDERSMANN | 26 |
| MRUK / DER ISEGRIM                           | 28 |
| ODWRÓT / UMKEHR                              | 29 |
| CZARODZIEJSKA RÓZDŻKA / WÜNSCHELRUTE         | 30 |
| POŻEGNANIE / ABSCHIED                        | 32 |
| LEŚNA ROZMOWA / WALDGESPRÄCH                 | 35 |
| NOC KSIĘŻYCOWA / MONDNACHT                   | 36 |
| MODLITWA PORANNA / MORGENGEBET               | 38 |
| NOCĄ / NACHTS                                | 40 |
| PRAGNIENIE ŚMIERCI / TODESLUST               | 42 |
| WIECZÓR / ABEND                              | 44 |
| PUSTELNIK / DER EINSIEDLER                   | 46 |
| ŻOŁNIERZ / DER SOLDAT                        | 48 |
| RODZINNE STRONY / DIE HEIMAT                 | 50 |

|   |     |
|---|-----|
| WIELKANOC / OSTERN                                    | 52  |
| NOCĄ W GDAŃSKU / NACHTS IN DANZIG                     | 54  |
| BOŻE NARODZENIE / WEIHNACHTEN                         | 56  |
| NA POŻEGNANIE CÓRKI / ZUM ABSCHIED MEINER TOCHTER     | 58  |
| NA ŚMIERĆ MEGO DZIECKA / AUF MEINES KINDES TOD        | 60  |
| BŁĘDNY GRAJEK / DER IRRE SPIELMANN                    | 64  |
| OSTATNI POWRÓT / LETZTE HEIMKEHR                      | 66  |
| PRZESZŁO-MINĘŁO / VORBEI                              | 70  |
| ŻAŁOŚĆ / WEHMUT                                       | 72  |
| DO MEGO BRATA / AN MEINEN BRUDER                      | 76  |
| DO MOJEGO BRATA / AN MEINEN BRUDER                    | 79  |
| DAROWANY GNIEW / VERGEBENER ÄRGER                     | 81  |
| PÓLMROK / ZWIELICHT                                   | 82  |
| MEMENTO / MEMENTO                                     | 84  |
| FRED APKE: Pan baron przychodzi bosy i płaci guzikiem | 87  |
| SPIS ILUSTRACJI                                       | 130 |
| LITERATURA  | 133 |

